Rok XI. Nr. 3.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Lipiec.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1905.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1905 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo" — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Polecamy gorąco:

Nową pieśń o Najśw. Pannie z Lourdes.

W pieśni tej opisane są najdokładniej wszystkie objawienia Najśw. Panny. Cena egz. (z nutami) 10 hal. (10 f.).



Sparaliżowany X. biskup Favier przed swym domem w Pekinie.

Ś. p. X. biskup Alfons Favier.*)

Sprawy polityczne dalekiego wschodu nabierają coraz większego znaczenia w Europie. Osią główną całej tej akcyi są Chiny, potężne cesarstwo niebieskie, zajmujące politycznie rdzeń wschodniej Azyi, a cywilizacyjnie cały wschód tego kontynentu krom Indyi i krajów muzułmańskich na południowym zachodzie.

Olbrzymie te obszary o ludności przeszło 400 milionowej, to cel i marzenie katolickich misyonarzy już od siedmiu wieków przeszło. Trzy wielkie zakony podjęły się tutaj pracy apostolskiej. Najpierw przybyli do tego kraju Franciszkanie, z wielkim Janem de Monte Corvino, pierwszym metropolitą Pekinu na czele; cmentarz starej dzielnicy chrześciańskiej w Pekinie, Kambalick, kryje zwłoki 164 misyonarzy franciszkańskich, którzy tu pracowali aż do początku 16-go wieku, dopóki prześladowanie nie zniszczyło ich pracy i nie zatarło śladów całej ich działalności. Na nowo podjęli się pracy misyjnej w tym kraju w XVI-tym wieku OO. Jezuici, wysyłając na to pole najlepsze swe siły naukowe. Misyonarze jezuiccy, licząc się z tem, że w Chinach istnieje tylko arystokracya urzędnicza, zależna najzupełniej od dworu cesarskiego w Pekinie, starali się też za wszelką cenę osiedlić się przy dworze, skąd przez protekcyę osłaniali pracę innych misyonarzy po prowincyi, narażając się naturalnie na pierwsze ciosy w czasie prześladowania. Sama praca misyjna Jezuitów była wielce

*) *La France au dehors — Les Missions Catholiques Françaises au XIX. siecle, III. Chine et Japon. — Peking par Mgr A. Favier 1900. — Les Missions catholiques 14 avril 1905.* — Misye katolickie, maj 1905 r. i inne czasopisma.

delikatną i roztropną, połączona z doskonałem zrozumieniem stanu rzeczy, polityki, zwyczajów i obyczajów narodu, graniczącem niemal z krańcowym oportunizmem, który później nie uniknął ostrej krytyki władz kościelnych, a nawet potępienia w sporze o obrządki chińskie przy nabożeństwach.

Misye jezuickie wśród zmiennych losów utrzymały się aż do 1773 roku, t. j. do zniesienia tego zakonu przez papieża Klemensa XIII. Miejsce OO. Jezuitów zajęło nasze Zgromadzenie, które jako trzecie z rzędu, miało teraz pracować na dalekim Wschodzie.

Na podstawie bulli papieskiej z r. 1783 objęli Misyonarze stacye misyjne i opiekę nad wiernymi po Jezuitach, których wielu poumierało ze smutku wskutek upadku swego zakonu. Warunki i rodzaj pracy uległy jednak z przybyciem naszych Misyonarzy, zwłaszcza w 19. wieku najzupełniejszej zmianie; niesłychane trudności, nieznane dawnym Misyonarzom, stanęły teraz na przeszkodzie apostołom naszego Zgromadzenia. Rozwój polityki kolonialnej państw europejskich w wieku 19. obudził uśpione narody dalekiego Wschodu, które się zerwały do boju z obcymi; szczyt brutalnego wyzysku handlowego stanowi wojna Anglii i Francyi w r. 1857, 58 i 60, zakończona upokorzeniem Chin i przymusowym importem zabójczego opium z angielskich Indyi. Za zwycięzcami napłynęli do Chin liczni kupcy i cudzoziemcy, których rozwiozłe życie nie przyczyniało bynajmniej czci dla religii katolickiej i nie budowało sceptycznego z natury Chińczyka, patrzącego z pogardą ze szczytu swej 40-wiekowej cywilizacyi na każdego obcego. Trzecią i to największą przeszkodą stanowią dziś misye protestanckie. Pole pracy, zdobyte niegdyś usilną działalnością katolickich Misyonarzy zaroiło się dziś od emisaryuszów i dam ewangelicznych 40 przeszło stowarzyszeń misyjnych najrozmaitszych sekt protestanckich, które w pościgu za duszami przy olbrzymich zasobach, nie przebierają w środkach, dyskredytując w ten sposób chrześcijaństwo do najwyższego stopnia. Tych trudności nie znali starzy Misyonarze we wielkiej mierze, a dziś stanowią one o całej pracy misyjnej na-

szych apostołów; prześladowania tak częste, które już tylu męczenników dały naszemu Zgromadzeniu, są tego niezbitym dowodem i dziś tylko protekcya polityczna i wzgląd na Europę ochrania chrześcijaństwo Chin od zupełnej zagłady. Podwoje pałaców cesarskich są dziś zamknięte dla Misyonarzy, którzy nie należą już jak niegdyś do stałego otoczenia cesarskiego, a temsamem wpływ na warstwy wyższe społeczeństwa chińskiego już ograniczony, a nawet prawie zupełnie ustał. Wobec nienawiści do cudzoziemców, wobec krzyżującej się polityki państw europejskich, wobec osłabionej, a raczej rozdzielonej opieki nad katolickiemi misyami między Francyę a Niemcy, wobec pewnego współzawodnictwa między zakonami katolickimi Niemiec a Francyi należy z trwogą oczekiwać obudzenia się olbrzymiego cesarstwa niebieskiego i przyjęcia przez nie cywilizacyi zachodniej a los misyi katolickich będzie wtedy krytyczny. Jednem słowem, Chiny, to kraj, do którego Misyonarz obok wielkiego poświęcenia musi przynieść jeszcze większe wykształcenie, gdyż nigdzie może postęp pracy ewangelicznej nie zależy tak od doboru jednostek, jak w tym kraju.

To pole pracy najeżone dziś tylu trudnościami, a powierzone naszemu Zgromadzeniu w znacznej swej części, wydało jednak w ostatnich pięćdziesięciu latach obfite plony, a to dzięki usilnej pracy i gorliwości naszych Misyonarzy, pomiędzy którymi pierwsze bez wątpienia miejsce zajmował niedawno zmarły nasz konfrater, wikaryusz apostolski Pekinu, X. Alfons Favier. Jego naczelne stanowisko jako najwyższego dostojnika duchownego stolicy, około której w ostatnim dziesiątku lat tyle ważnych spraw politycznych się rozegrało, wtrącało go we wir polityki, w której tak doniosłą choć może cichą i tajemną odegrał rolę.

X. Alfons Favier urodził się 22 września 1837 r. w Marsannay la Cote w dyecezyi Dijon w Burgundyi. Już w młodym wieku wstąpił do seminaryum XX. Misyonarzy; wyświęcony zaledwie na kapłana, zaraz w 1862 roku, w 25 roku życia wyruszył do Chin na pracę misyjną, której już aż do

śmierci miał się oddawać. Prawdziwy humor, szczere i wesołe usposobienie cechowały młodego kapłana i nie opuszczały go w najcięższych okolicznościach życia. Do Chin przynosił młody Misyonarz wielkie wykształcenie, prawdziwie apostolską odwagę i męstwo; przybywszy na miejsce mimo nawału zajęć i pracy misyjnej znalazł czas do studyowania języka chińskiego, literatury, historyi i zwyczajów tego kraju, tak, że należał bez wątpienia do najlepszych znawców niebieskiego cesarstwa. Jako pole pracy ewangelicznej przeznaczono mu wikaryat apostolski północnego Czeli wraz ze stolicą Pekinem; tu rozwinął niesłychanie czynną akcyę misyjną w najściślejszem porozumieniu z ambasadą francuską, której protekcyę nad katolickiemi misyami uznawał za niezbędną. Pracował z kolei pod czterema wikaryuszami apostolskimi Pekinu: pod Mgr. Mouly, Mgr. Delaplace, Mgr. Tagliabue i Mgr. Sarthou; wszyscy oceniając jego zdolności, a zwłaszcza roztropność w obcowaniu z chytrymi urzędnikami chińskimi, powierzali mu najtrudniejsze sprawy do załatwienia, z których się znakomicie wywiązywał.

Misye wikaryatu północnego Czeli spotykały ciągle doświadczenia, to pożary częste, wzniecane jakąś tajemną ręką, to znowu częściowe lub ogólne prześladowania niweczyły pracę Misyonarzy. Stan samego wikaryatu nie był świetny; 12 Misyonarzy europejskich, 22 krajowych i 20 Sióstr Miłosierdzia stanowiło w r. 1867 cały personal misyjny. Na stuletnią pracę było to niezawodnie za mało, zwłaszcza, że w południowem Czeli pod Pekinem pracowali OO. Jezuici z większym zasobem sił i z lepszem powodzeniem. X. Favier zabrał się najpierw do budowy domów misyjnych; zrywa więc ze starą tradycyą połączoną z pewną chęcią utajenia pracy misyjnej, żeby budować domki chińskie, niczem się nie różniące od otoczenia, a nie kłuć budowlami europejskiemi Chińczyków w oczy. W miejsce klatkowych, drewnianych domków buduje domy już w stylu europejskim, które najpierw nie stają się tak łatwo pastwą płomieni, a w razie rozruchów dają nawet pewną obronę, jak się to

później rzeczywiście okazało. Same budynki ukrywał w ogrodach i usuwał od ulicy, zasłaniając je pozornie bramami chińskiemi i wysokim murem. Tak pod osobistym dozorem X. Favier stanął wspaniały dom europejski w Petangu i katedra; odbudowanie jednak i wyodrębnienie całej tej starej dzielnicy chrześcijańskiej nastąpiło dopiero pod rządami Mgr. Tagliabue od r. 1884. Środki napływały obficie z Francyi, nadto przy pomocy pewnej presyi ze strony rządu francuskiego, Chiny wypłaciły Misyonarzom w r. 1886 sumę 240 tysięcy franków jako odszkodowanie za krzywdy podczas prześladowań poniesione. Zaroiło się też w Petangu od robotników: 140 murarzy, 110 kamieniarzy, 180 cieślów, 45 malarzy, 50 rzeźbiarzy i wielka liczba pomocników pracowała nad budową domów misyjnych. Stanęła piękna katedra Zbawiciela i cały szereg zabudowań misyjnych według planu X. Favier'a, którego zdolności architektoniczne wystąpiły teraz na jaw. Przy tej pracy podziwiali go posłowie państw zagranicznych, zwłaszcza zaś p. Benby, ambasador Stanów Zjednoczonych, który poufale nazywał małego ale energicznego księdza Witruwiuszem i Palladi'em Pekinu. Wreszcie po dziesięcioletniej pracy stanęła piękna rezydencya biskupa i Misyonarzy, godna katolicyzmu i katolickiej Francyi: około niej skupiły się domki chrześcijan, tworząc w ten sposób wyłącznie chrześcijańską dzielnicę, najporządniejszą z całego Pekinu. Niemniej gorliwie pracował X. Favier poza stolicą; będąc pod Mgr. Delaplace dyrektorem dzieł „Dzieła Dziecięctwa“, zbudował w wikaryacie 13 zakładów dla sierót, 4 apteki, 5 warsztatów rzemieślniczych i 8 zakładów dla dziewcząt. Ale nietylko o zewnętrzną stronę działalności misyjnej starał się X. Favier, równie gorliwie zabiegał, by pomnożyć liczbę pracowników na polu pracy, zamieszkałem przez 30 milionów pogan. Za jego staraniem i przy współudziale wikaryuszów apostolskich osiedlili się w Czeli OO. Trapiści w r. 1883, po nich osiedlają się Bracia Maryści i Siostry św. Józefa. W uznaniu zasług Mgr. Sarthou zażądał od stolicy św. X. Faviera na swego koadjutora w charakterze następcy w roku 1897.

Konsekracya nowego dostojnika przemieniła się w jedną wielką owacyę dla elekta i Kościoła katolickiego; całe ciało dyplomatyczne z 12 posłów państw zagranicznych, wicekról Czeli, 12 książąt z rodziny cesarskiej i mnóstwo wiernych brało udział w uroczystości kościelnej. Godność mandaryna czerwonego guzika II. klasy była wyrazem uznania zasług biskupa ze strony rządu chińskiego. Zdolność jednak i energia nowego biskupa wystąpiła dopiero na jaw w całem świetle, kiedy sam w roku 1899 po śmierci Mgr. Sarthou został wikaryuszem apostolskim Pekinu. Teraz rozwinął swoje plany polityczne: w porozumieniu z dworem cesarskim i p. Pichon, ambasadorem francuskim, wyjednał u dyplomatów chińskich sławny edykt tolerancyjny z r. 1899, zapewniający katolikom wolność wyznawania i głoszenia wiary po całem cesarstwie niebieskiem; niemniej ważnym przywilejem było prawo biskupów zasiadania w sądach z mandarynami, gdzie wiernych można było obronić częstokroć od niesprawiedliwych wyroków. Wogóle dyplomatycznem swem postępowaniem uzyskał X. biskup więcej od rządu chińskiego, niż posłowie zagraniczni swemi notami; powaga jego osoby była nawet przy dworze tak wielką, że uzyskał kilkakrotne posłuchanie u cesarza i cesarzowej, połączone z całym subtelnym ceremoniałem chinskim. Wprawdzie sprawy misyi i protektorat nad niemi połączył może zbyt ściśle z dyplomacyą francuską, dziś tak zmienną, lecz i w tej mierze można go znacznie uniewinnić. Francya ma największe zasługi około misyi katolickich na dalekim Wschodzie i większa część misyonarzy pochodzi z tego kraju, ztąd też zabiegi X. biskupa Favier'a dla utrzymania wpływu francuskiego w stolicy były zupełnie uzasadnione, zwłaszcza odkąd niemiecki biskup Anzer przez zuchwałą i prowokacyjną swą wyprawę misyjną do Jenczoufu, grobu wielkiego mędrca chińskiego Konfucyusza, nietkniętego stopą cudzoziemców, wywołał oburzenie Chińczyków. Niemcy za namową biskupa Anzera narzuciły się wtedy na opiekunów misyonarzy; sprowadziło to za sobą zajęcie Kiauczau i uszczuplanie terytoryum chińskiego przez inne mocar-

stwa, co później znowu stało się bezpośrednią przyczyną powstania Bokserów. Trudności dyplomatyczne misyi katolickich wzrastały z roku na rok, lecz X. Biskup Favier umiał je szczęśliwie rozwiązywać zawsze z największym politycznym zyskiem Francyi, co mu u narodu, a zwłaszcza u sfer rządzących w ojczyźnie jednało wielką popularność.

Obok prac misyjnych nie zaniedbał X. biskup Favier i nauki; jego 43-letni pobyt w Chinach, jego liczne podróże po Czeli uczyniły zeń najlepszego znawcę cesarstwa niebieskiego a przedewszystkiem Pekinu. Sam był niesłychanie popularny wśród Chińczyków, znał ich język, literaturę, obyczaje i przywdziewał czasem strój mandaryna. Posiadając znaczny majątek, wybudował sobie w Tien-Tsinie wspaniałą rezydencyę letnią, łączącą przepych europejski ze wschodnim, co u chińskich urzędników wywołało podziw i uszanowanie dla X. biskupa. Doniosłą jest praca X. wikaryusza na polu piśmiennictwa. Obok licznych artykułów, rozproszonych po rocznikach misyi katolickich i Dzieła św. Dziecięctwa zasługuje na szczególniejszą uwagę monografia Pekinu, wydana w 1900 roku. Jestto wspaniałe studyum zarówno chrześcijańskich jak pogańskich zabytków tego miasta, godne pióra artysty, historyka i podróżnika. Dzieje katolickich misyi od 13. wieku aż do dnia dzisiejszego stanowią główną nić, snującą się przez całe dzieło, około której grupują się postacie cesarzy, wrogów lub przyjaciół ewangelii i ogólne dzieje Chin. Autor, sięgając pierwszych śladów chrześcijaństwa w Chinach, opisuje następnie wspaniałe dzieje średniowiecznych misyi franciszkańskich, potem nowożytnych jezuickich i naszego Zgromadzenia. Favier dochodzi w tem dziele do ważnego odkrycia, mianowicie, że minoryta Odoryk Matthiucci z Friulu na początku 14-go wieku pierwszy doszedł do Lassy i od niego to prawdopodobnie nauczyli się bonzowie ceremonii do tego stopnia podobnych do katolickich, że nasi dwaj podróżnicy Misyonarze Huc i Gabet nie mogąc sobie tego podobieństwa inaczej wytłómaczyć, przypuszczali tu poprostu oszukaństwo i zasadzkę szatańską. Piękne i oryginalne repro-

dukcye chińskie stanowią ozdobę tego dzieła, które świat uczony przyjął z uznaniem a autora zaszczycił różnemi honorowemi odznaczeniami. Dzieło to jest wspaniałym pomnikiem zasług i prac Misyonarzy na dalekim wschodzie; zarówno zasługi naukowe Misyonarzy, a zwłaszcza X. Armanda Davida, jakoteż i trudy apostolskie doczekały się po tylu wiekach dokładnego opisu. Ostatnią pracą naukową X. biskupa Favier'a był ogólny opis misyj katolickich w Chinach w dziele pod tyt.: *France au dehors ou les missions catholiques françaises;* dzieło zbiorowe wielu misyonarzy, które połączonemi siłami przyszło do skutku dopiero w r. 1904. Te dzieła, jakoteż oddźwięk wielkich zdolności politycznych biskupa, które tak wiele uroku przyczyniły imieniowi Francyi, uczyniły go najpopularniejszym biskupem misyjnym w tym kraju, który w wieku 19-tym wydał tak wielu głośnych i zasłużonych apostołów na polu ewangelizacyi krajów pogańskich. Sam Favier zjawił się kilka razy w Rzymie i Francyi, zwłaszcza ostatni jego pobyt w ojczyźnie po doświadczeniach z r. 1900 równał się pochodowi tryumfalnemu po więcej katolickich miastach, gdzie po odczytach przezeń wygłoszonych, zbierano hojne składki na rzecz udręczonych chrześcijan chińskich.

Przy tak wielkiej zapobiegliwości pasterza i liczba wiernych wzrosła też niepomiernie; instytucye misyjne pomnożyły się i rozwinęły do tego stopnia, że wikaryat północnego Czeli może dziś śmiało stanąć obok najstarszych wikaryatów jezuickich południowych Chin lub południowego Czeli. Wogóle, zapowiadała się najlepsza przyszłość dla katolickich misyj, gdy nagle rok 1900 przyniósł ze sobą dotkliwe klęski. Rozruchy polityczne czyli tak zw. powstanie Bokserów nawiedziło Pekin i okolicę, t. j. wikaryat apostolski północnego Czeli; niechęć do cudzoziemców uwydatniła się w mordzie posłów zagranicznych, niszczono konsulaty i domy Europejczyków. Ciężkie ciosy spotkały także i misye katolickie; na razie zdawało się, że cała praca 40-letnia pójdzie zupełnie na marne. Po protekcyi i uroczystym edykcie nastąpiły rzezie

i mordy. X. biskup Favier z boleścią musiał patrzeć, jak płonęły stacye misyjne, kościoły i jak ginęły jego owieczki.

Wśród rozruchów wymordowano 6000 wiernych, 280 domów misyjnych z ogólnej liczby 300 zostało zniszczonych, 23 kościoły na 25, a wśród nich i stary pojezuicki Niepokalanego Poczęcia z r. 1610, poszły z dymem. Cała nawała powstańców runęła wkońcu na Petang, centrum misyi katolickich w Pekinie. Tu zamknął się sam biskup, zdecydowany do ostatecznej obrony swej stolicy. Przewidując oblężenie, nagromadził znaczne zapasy żywności dla 3000 chrześcijan, którzy tu szukali schronienia; w tak krytycznej chwili posłała mu ambasada francuska 40 marynarzy. Biskup sam stał się tym razem komendantem twierdzy i wytrzymał dwumiesięczne oblężenie; chodziło mu o resztki owczarni i Misyonarzy francuskich, którzy ustępując przed prześladowaniem schronili się do Petangu.

Najzaciętsza walka toczyła się na murze 1400 metrów długim, obsadzonym zaledwie 30 marynarzami; biskup był wszędzie: to zachęcał walczących, to uspokajał strwożonych chrześcijan, którym zagrażała śmierć głodowa. Wreszcie wojska legacyjne oswobodziły oblężonych; katedra i rezydencya wprawdzie ocalały, ale za to w ruinie leżały wszystkie stacye misyjne; nie zachwiało to jednak odwagi biskupa. Pełen wielkoduszności i energii, zabrał się na nowo do pracy. Uzyskawszy pewne odszkodowanie od rządu chińskiego, a z drugiej strony przy pomocy ofiar z Francyi, odbudował dzielnicę chrześcijańską okazalej niż poprzednio. Stacye misyjne podniosły się z upadku, a liczba wiernych wzrosła znacznie. Bóg wynagrodził trudy biskupa i poświęcenie Misyonarzy. Stan misyi w północnem Czeli pomimo tak ciężkich doświadczeń, przedstawia się dziś świetnie: 59.016 wiernych liczy cały wikaryat, w którym pracuje 39 Misyonarzy naszego Zgromadzenia, 37 świeckich kapłanów, 63 Trapistów, 18 braci Marystów, 44 Sióstr Miłosierdzia i 77 Sióstr św. Józefa, obok tego są liczne szkoły i zakłady naukowe.

Krzyż legii honorowej i godność mandaryna czerwonego guzika I. klasy, to ostatnie promienie chwały ziemskiej, które padły na postać skromnego Misyonarza przy schyłku jego życia.

Trudy oblężenia i długa praca misyjna złamały żelazny organizm X. biskupa Faviera. Częściowy paraliż na początku 1905 roku pozbawił go ruchu; w tym stanie kazał się jeszcze



X. biskup Favier w swym salonie.

obwozić po ulicach Petangu, by pocieszać swych wiernych i Misyonarzy w ich pracy. Wreszcie śmierć w dniu 4-go kwietnia b. r. uwolniła go od ciężkich boleści. Zwłoki jego po uroczystym obrzędzie pogrzebowym wśród napływu wiernych, w asystencyi posłów zagranicznych złożono na cmentarzu francuskim w Czeng-fou-sse do wiecznego spoczynku.

Zgromadzenie nasze w osobie X. biskupa Favier'a traci jednego z najdostojniejszych i najuczeńszych swoich członków. Tylko ludzie tego zakroju, takiej pracy i takiego wykształcenia mogą z korzyścią pracować na polu misyjnem w Chinach, na którem zbiegają się dziś zwłaszcza najrozmaitsze kierunki polityczne i rozliczne trudności. Prace zmarłego, jego poświęcenie i gorliwość, a zwłaszcza jego wstawiennictwo w niebie niech wyjedna naszym Misyonarzom u Boga wytrwałość na tak znojnem polu misyjnej pracy.

X. Jan Rzymełka.

Sprawozdanie z misyi, odprawionych w jesieni 1903 r. w Galicyi Wschodniej.

Powitno.

Dnia 28. sierpnia 1903 r. wybraliśmy się z Jezierzan na misye, wyznaczone nam przez Najprzewiel. Konsystorz Metropolitalny we Lwowie. Po drodze wstąpiliśmy do Maryampola, gdzie bawił natenczas nasz Przewiel. X. Wizytator. Odwiedziliśmy Go, aby zasięgnąć potrzebnej rady i otrzymać od Niego błogosławieństwo do ciężkiej i mozolnej pracy, jaka nas czekała.

Nazajutrz wyjechaliśmy w stronę Lwowa, zabrawszy po drodze X. Kołodzieja ze Sarnek. Wieczorem tego samego dnia stanęliśmy w Mszanie, stacyi najbliższej Powitna. Było nas czterech: X. Buchhorn, kierownik misyi, X. Domaradzki, X. Kołodziej i X. Głogowski, który bawiąc w Jezierzanach na wakacyach, był łaskaw wybrać się z nami na misye, aby poznać sposób odprawiania misyi, które w niedługim potem czasie miał w Ameryce odprawiać. Na dworcu w Mszanie czekał na nas proboszcz z Powitna, X. Michał Lachiewicz i wiele ludu. Za pół godziny stanęliśmy u celu. Do parafii należy 7 wiosek niezbyt odległych. Początek jej sięga 1427 r. Pierwotny kościół drewniany, który atoli 1902 r. zgorzał wskutek nieostrożności blacharzy. Niespełna w rok stanął nowy kościół dzięki zabiegom i gorliwości X. proboszcza. Jest w stylu romańskim, piękny, a pomieści 800 ludzi.

Nazajutrz po naszem przybyciu, 30 sierpnia, była niedziela. Przed sumą wprowadzono nas procesyonalnie z plebanii do kościoła. Tu od ołtarza powitał nas i przedstawił ludowi pasterz miejscowy, zachęcił zebranych parafian do gorliwego udziału w misyi, a na znak oddania nam całej

parafii pod zarząd włożył nam stuły i wręczył klucze od kościoła. Wyszła suma uroczysta, w czasie której przewodniczący misyi, X. Buchhorn, wygłosił kazanie pierwsze o misyi, jej znaczeniu i celu. Ludzi zebrało się dosyć, Rusini brali liczny udział. Misya szła ciężko i żmudno, bo naród zruszczały bardzo mało po polsku mówi, tyle, ile musi z księdzem. Kobiet w pierwszej połowie tygodnia wyspowiadało się 380. Szło jak po grudzie, dopiero przy Komunii serca trochę stopniały, kiedy przed przyjęciem Zbawiciela do serca zebranych przemówił jeden z księży słowami gorącemi, z ogniem. Pomagali nam w słuchaniu spowiedzi: XX. Sylwester Antoni, proboszcz z Rodatycz, X. Hubert Weyman, proboszcz z Zimnej Wody, X. Leopold Niedzielski, proboszcz z Weissenbergu, X. Franciszek Kulczycki, wikary z Gródka. Przybył także X. Jan Chęciński, proboszcz parafii Panny Maryi Śnieżnej we Lwowie, nowo mianowany dziekan gródecki po zmarłym niedawno nieodżałowanej pamięci X. Stopczyńskim. Wszyscy ci chętnie przybyli z pomocą duchowną, bo dom proboszcza z Powitna słynie w okolicy z gościnności staropolskiej, każdy czuje się tu jak u siebie w domu, kto przyjdzie mile przyjęty, mile witany jak w domu zajezdnym czy to parafianin, czy obcy i urzędnik i nauczyciel i student i dziecko małe i żebrak nawet mile tu widziany. Bractwo tu żadne dotąd nie było znane; wprawdzie proboszcz gorliwy bardzo, ale przez 3 lata swego pobytu nie miał czasu zająć się parafianami, inne sprawy naglące więcej go interesować musiały: wystawił kościół, szkołę, zabudowania gospodarskie, rezydencyę, bo wszystko to pożar był zniszczył. X. Domaradzki z X. Superyorem misyi zaledwie małą garsteczkę zdołali do szkaplerza i różańca nakłonić i to jeszcze po długich namowach. Dziwna rzecz! nie daleko Gródek, gdzie lud taki chętny do kościoła i do Boga, a tu taka obojętność i zimnota! Tam ledwie dzwon się odezwał w czasie misyi zeszłorocznej, tłumy ludu spieszyły ochoczo, aby po brzegi wypełnić kościół; tu i strzelanie z moździerzy nie wielu pobożnych do kościoła sprowadzało.

Druga połowa tygodnia przeznaczona była dla mężczyzn. Zebrało ich się mniej, bo około 300 tylko, ale mieliśmy tę pociechę, że doskonale uważali na nauki i przejmowali się niemi. Spowiedź św odprawili skruszeni z całego serca i publicznie przyrzekali poprawę życia po misyi. Zakończyliśmy misyę 6. września. Po południu tegoż dnia i cały dzień następny poświęciliśmy dla Mszany, wioski, która jest duszą i jądrem parafii Powitniańskiej. We wtorek przypadła uroczystość Narodzenia N. Panny, w Powitnie odpust. X. Domaradzki i X. Kołodziej zostali na tę uroczystość, a X. Głogowski z X. Buchhornem wczesnym rankiem wyjechali do Janowa, aby tam tegoż dnia na sumie rozpocząć prace misyjne.

Janów pod Lwowem.

Ludzi było dosyć. Po wstępnej ceremonii i odśpiewaniu uroczystego Veni Creator, wyszedł ze sumą X. Głogowski, wśród której wygłosił słowo Boże X. Buchhorn o potrzebie pracy nad zbawieniem. Lud całem sercem był nam oddany podczas misyi, która tu trwała dni 8. Chętnie garnęli się do kościoła, słuchali pilnie słowa Bożego, rozumieli nas dobrze, bo mówią między sobą po polsku, co nam rzeczywiście sprawiło wielką przyjemność i pociechę. Cała inteligencya wzięła udział w ćwiczeniach duchownych i przykładnie przystępowała do Sakramentów św. Wyspowiadaliśmy kobiet 578, mężczyzn trochę mniej. Jest tu proboszczem X. Jan Gurawski od lat 17, ten sam, który lat 17 pracował przy parafii Jezierzańskiej. Miasto Janów, założone według kronik kościelnych przez Jana Swoszowskiego 1612, który też w dwa lata później 1614 erygował tu parafię rzymsko-katol. Pierwotnie był tu kościół drewniany, od roku 1773 stoi piękny murowany, choć niewielki. Okolica prześliczna, miejsce ulubione wycieczek lwowskich, posiada wiele lasów szpilkowych, ma kolej w miejscu, staw 800 morgowy; to też w niedzielę roi się od letników. Janów jest własnosnością Agenora Gołuchowskiego. Na uwagę zasługuje obraz Matki Boskiej, typu

wschodniego, słynął i słynie cudami; według podania miał być przywieziony z Carogrodu do Polski.

W niedzielę infra Octavam Nativitatis B. Virg. naszła tak wielka moc narodu okolicznego, że niepodobna było przedostać się przez kościół. Czas był piękny, stąd narod ruszył z całej okolicy jak jeden mąż. Urządziliśmy uroczyste zaofiarowanie całej parafii Janowskiej Najśw. Pannie, Boga-Rodzicy. Naród rzewnie płakał, gdy z ambony czytano akt ofiarowania się Niebios Królowej, wszyscy prawie przystąpili do Arcybractwa różańca św. i szkaplerza. Od wódki ślubowała większa część. Misya tedy w Janowie udała się ślicznie, za co niech będą Bogu Najwyższemu dzięki. Pomagali nam w pracy: X. Michał Lachiewicz, proboszcz z Powitna, X. Leopold Niedzielski, probosz z Białogóry, katecheta z Gródka, X. Franciszek Kulczycki, nadto przybył ze Lwowa X. Fr. Grzegdala i dzielnie nam pomagał, Bóg mu to zapłaci. Po 8 dniach wieczornym pociągiem powracaliśmy do Lwowa, żegnani rzewnie; zdala jeszcze nas dolatywały głosy wdzięcznego ludu Janowskiego: Nasi Ojcowie Misyonarze niech żyją!

Skole.

Wypocząwszy we Lwowie u Konfratrów przez jeden dzień, ruszyliśmy 17 września przez Stryj do Skolego, miasteczka górskiego, położonego nie daleko węgierskiej granicy. Jakież było nasze zdumienie, kiedyśmy przyjechali na dworzec a nikt nas nie powitał, ba, zajechaliśmy na probostwo i nie zastaliśmy nikogo, bo proboszcz nie trzyma gospodarki ani kuchni nie prowadzi ani niema służby. Stary tylko kościelny usługuje Jegomości trochę z rana, a wieczorem przychodzi spać na plebanię, bo się Jegomość sam boi. Gdzież X. proboszcz? W restauracyi, a gdzieżby był, powiada stary Leon. A cóż tam porabia? Ha cóż, ta je kolacyę, odrzekł uśmiechając się. A wnet powróci? Ta może wnet, a może i nie wnet, a bo cóż? Przyjechaliśmy na misye. Na misye! ej to dopiero misye jutro wieczorem. Dziś nic nie przygotowane.

Idź po księdza proboszcza a nam zapal lampę. Zapalił. Zobaczywszy czterech Jegomościów, zmieszał się nieco, pocałował w rękę każdego i znikł. Za chwilę przybiegł X. proboszcz zmieszany i zakłopotany. My nie wiedzieliśmy, co robić, czy się śmiać czy płakać. Ledwieśmy go uspokoili. On się wymawia, że nie wiedział, że nic nie przygotowane, to znowu, że nie ogolony, to znowu, że nie był po nas na dworcu. Ależ to nic, mój księże, powiadam mu, mała zaszła pomyłka: zamiast przyjechać jutro, przyjechaliśmy dzisiaj, ale jakoś to będzie. Słowo po słowie i uspokoił się zupełnie. Było trzeba widzieć zakłopotanie i ambaras biednego proboszcza. Wieczór zapadł dawno; czterech ludzi zjechało, a tu trzeba im przygotować nocleg, a i coś zjeść, bo głodni. Ale na wszystko rada. Przyniesiono z restauracyi wieczerzę, a gdzieś o 12-tej skłoniliśmy senne głowy na poduszki, które naprędce stary Leon z żoną poznosił. Spaliśmy smacznie. Sam tylko proboszcz oka nie zmrużył. Co ja im dam, myśli sobie, jutro piątek, a do tego i suchedni. Co to z tego będzie? My tymczasem odprawiwszy rano Msze św., skorzystaliśmy z wolnego dnia i wybraliśmy się koleją do Tuchli dla zwiedzenia okolicy. Czasu było dosyć, gdyż misya miała się rozpocząć dopiero wieczorem. Skole i Tuchla i cała okolica aż do Ławocznego czarująca. Zdawało nam się ustawicznie, że jesteśmy w Zakopanem, gdzieś w Kościeliskiej dolinie. Co za wspaniałe, urocze widoki, a co chwila nowe, a co chwila świeże, piękniejsze jedne od drugich; ciszę uroczystą przerywa wartko płynący potok, czysty jak łza, góry zalesione do szczytu, a wśród nich widzieć można ożywione fabrykami ludne wioski i sioła.

Parafia Skolska sięga do granicy węgierskiej, należy do niej 35 wsi, najdalsza Chaszczowanie 40 klm., Oporzec 39 klm. oddalone. Tuchla, piękna miejscowość, jest miejscem sezonowem. Tu znajduje się piękny zakład letni z ogrodem, gdzie dziatwa kolejarzy lwowskich razem z nauczycielami szkoły kolejowej lwowskiej przyjemnie spędza wakacye.

Skole, dawniej Nowa Aleksandrya, sięga dawnych czasów. Erekcya probostwa w Skolem datuje się od roku 1660, jak to widać z aktów miejskich. Kościół obecny, murowany r. 1893, choć piękny i niedawny, dość zaniedbany i brudny dla braku służby kościelnej, grozi zawaleniem i dlatego wewnątrz sufit jego podpierany, co zawdzięczyć można niesumienności budowniczego. Proboszcz ks. Antoni Wanatowicz, dusza człowiek, cichutki, spokojny. Przy ostatnim pożarze przed kilku laty wszystko utracił. Szalony wicher dopomógł ogniowi dzielnie tak, że w 20 minutach ogarnęły płomienie całe niemal miasto, nie szczędząc kościoła i plebanii. Proboszcz przerażony wpada do palącego się domu Bożego, porywa N. Sakrament, wnosi go do gmachu sądowego, wtem spada belka i zapala na nim komżę, biedny ksiądz przyciska się do ściany i gasi tym sposobem palącą się komżę i rewerendę. Umieściwszy N. Sakrament w piwnicy gmachu sądowego, spieszy do domu, lecz całą plebanię zastaje w płomieniach. Co do joty wszystko popalone, ubranie, akta, papiery wartościowe, bielizna, meble — a czego ogień nie zniszczył, rozkradli źli ludzie, których zwykle przy takich wypadkach nie brakuje. Od tego czasu proboszcz ten w nędzy dość niemałej, zniechęcony: nie trzyma żadnej służby, ale żyje zupełnie jak pustelnik. Skromne jego mieszkanko, skromne ubranie, skromny stół, do którego zasiada raz na dzień. Na domiar nieszczęścia jego kościół niedawno zbudowany rysuje się i psuje, grożąc zawaleniem, grzyb nielitościwie niszczy belkowanie i mury. Prawdziwy męczennik. Przy tem wszystkiem zawsze jakiś wystraszony. Sam posługiwał do Mszy św. w czasie misyi. Powiadają, że gdy miał na wizytacyę pasterską zjechać X. Arcybiskup radził się sąsiada księdza, jak go powitać. Poradzono mu wystawić bramę tryumfalną z napisem: „Non intres in iudicium cum servo Tuo Domine“ — i ten *verus israelita* w prostocie swojej zastosował się podobno do rady dobrego sąsiada.

Wieczorem w piątek 18 września zaczęliśmy misye na nieszporach. Narodu moc wielka, ślicznym śpiewem przypo-

minali mi górali naszych z pod Nowego Targu lub Zakopanego, bo żywo, wesoło, a przytem równo. Jakież to rozrzewniające nabożeństwo. Setki ludu na kolanach przed Bogiem wystawionym na Ołtarzu. Wszystko pobożnie i pokornie śpiewa litanię do Niebios Królowej, a odgłos odbija się o gotyckie sklepienie rzęsiście oświetlonej świątyni. Po nabożeństwie wszedłem na ambonę, zaczynając naukę wstępną od słów: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Na wieki wieków, odezwało się gromko kilkaset głosów. Słuchali nauki przykładnie i pilnie, a po twarzach czytać było można, jak byli przejęci Bożem słowem, jak ich misya zainteresowała. Gdym pod koniec zapytał, czy zechcą chodzić na misye, wołali wszyscy ze łzami: Będziemy, będziemy, Ojcze duchowny, przychodzili chętnie.

Ponieważ p. Szmidt, protestant, właściciel fabryk, tartaków i kamieniołomów miejscowych, nie chciał uwolnić swoich robotników, których blizko 2000, mimo, żem go prosił bardzo, musieliśmy wieczorami dość późno urządzać dla nich osobne nabożeństwa i nauki. Było nam to nie na rękę, bo znużeni pracą całodzienną, chętnie bylibyśmy się rzucili w objęcia morfeusza, lecz dla Boga i braci uczyniliśmy tę ofiarę chętnie, bo nam na myśli stanęły słowa Apostoła: „A ja bardzo rad nałożę i nadwyż się wydam sam za dusze wasze, bracia“ (Cor. 12. 15.).

Wyspowiadaliśmy przeszło 800 ludzi, do bractwa trzeźwości świętej przyjęto prawie wszystkich. Odjechaliśmy 22 września, żegnani niemal przez całą inteligencyę i płacz głośny wdzięcznego ludu. Gdy pociąg ruszył, powstał krzyk i lament i płacz, jak niegdyś nad brzegiem morza, gdy Paweł św. żegnał się z Efezami. Było nam przykro — wybaczyć sobie nie mogę tego, żeśmy tylko 5 dni zabawili w tej parafii, w której trzeba było popracować najmniej dni 10, ale winni byli ci, którzy nam tłumaczyli, że tam chyba nikogo mieć nie będziemy w kościele, bo każdy zajęty fabryką, interesem. Nam Bóg dziwnie pobłogosławił, za co niech mu będzie cześć i chwała. Zrobiliśmy, cośmy mogli, szkoda tylko,

że przeszło 200 zostało bez spowiedzi. Wiele małżeństw dzikich naprawiliśmy, poważnionych i nieżyjących ze sobą małżonków z pomocą Bożą pogodziliśmy i połączyli. *Mirabilis Deus in operibus suis!*

Sokołów.

Tego samego dnia tj. 22. września przybyliśmy pod wieczór do Sokołowa ad Stryj. Parafia dosyć dawna, erekcya jej sięga r. 1512. Kościółek nie duży, drewniany, ale nadzwyczaj czysto utrzymany, porządek w nim wzorowy. Ludność, jak rzadko gdzie, przygotowana na przyjęcie łaski misyjnej. Witano nas z entuzyazmem jak aniołów z nieba, jak naprawdę apostołów, siewców ewangelicznych. Proboszcz miejscowy, X. Andrzej Treszczyński, kapłan święty i światły, sługa Boży, przejęty nawskróś duchem wiary, pracuje nad uświątobliwieniem parafian. Parafijka mała, bo zaledwie 600 dusz licząca, więc też i praca bardzo ułatwiona. Na szczególniejszą uwagę i wspomnienie zasługuje piękny, do głębi duszy wzruszający obraz Zbawiciela, do słupa przywiązanego, umieszczony we wielkim ołtarzu. Powiadają, że jest pędzla Vandyk'a.

Wieczorem rozpoczęliśmy, jak zwykle, nieszporami, po których nauka o świętym czasie misyi, w którym powinniśmy pomyśleć o zbawieniu duszy i naprawie życia. Nie mogliśmy powstrzymać się od łez, spoglądając na nasz kochany ludek wiejski, jak w tej starej świątyni wśród tysiąca świateł rozmodlony klęczał z pokorą i pobożnością staropolską; każdy trzymał świecę w ręku, symbol wiary żywej, a zarazem i radości z rozpoczynającej się misyi. Przy ołtarzu kilkadziesiąt dziewcząt wiejskich, niewinnych jeszcze, w bieli z liliami w ręku i wiankami na główkach, klęczy przed N. Sakramentem. Wszystko w poważnym nastroju pełną piersią spiewa pobożnie „Duchu św. przyjdź prosimy, Twojej łaski nam trzeba". Z największą uwagą słuchali słowa Bożego przez cały ciąg misyi, która tu trwała dni 5. Kościółek przystrojony podobnie

jak i parafianie. I X. proboszcz i jego owieczki doskonale zrozumieli cel i znaczenie misyi. Wyspowiadaliśmy 368 ludzi. Parafia ta jest czysto polska, bez wszelkiej przymieszki Rusinów. Serce ludu tutejszego jeszcze nie zepsute, dlatego dobre, proste, uległe, ale też czuwa nad nimi dobry i świątobliwy pasterz, który pewnie modli się za lud swój, aby go Bóg ustrzegł od zepsucia i przewrotności. Na pożegnanie zaproszono nas na obiad do dworu, który ręka w rękę idzie X. proboszczem. Po południu opuściliśmy Sokołów, wynosząc z niego nader miłe wspomnienie i zadowolenie.

X. Fr. Buchhorn.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprawozdanie z misyi, danych w r. 1904 przez XX. Misyonarzy z Kleparza w Galicyi Zachodniej.

Najczcigodniejszy Księże Wizytatorze!

Dał nam Bóg zeszłego roku pod jesień nieco wypoczynku, by świeże do misyi zaprzągnięte siły stężały; starsi zaś konfratrzy, już dawniej na tem polu pracujący, żeby nieco wytchnęli lub pomogli innym, podejmując exkursye z rekolekcyami do domów sióstr i ich zakładów. Tak nam spokojnie zeszła jesień 1903 r. Za to ten rok 1904, świeżo zamknięty był przepełniony żniwem mozolnem. Daliśmy 15 misyi w tym roku, co się rzadko zdarza — a bodaj czy to nie pierwszy wypadek w tym czasie, odkąd po misyach jeżdżę, żeby jedno koło misyjne tyle razy się obróciło. Cośmy wyjechali z Kleparza w tym roku, to albo czekała potężna misya na 4 stany, albo kilka pomniejszych, które jednym zamachem trzeba było odbyć; a czasem jedno i drugie się zeszło. W dyecezyi krakowskiej już od dziesiątka lat mamy renomę ustaloną i J. Em. X. Kardynał regularnie rokrocznie po dwakroć do żniwa w swej owczarni nas zaprzęga; w tarnowskiej dyecezyi wydał niedawno N. X. Biskup Wałęga kurendę polecającą po parafiach misye, gdzie i nasze Zgromadzenie słowa gorącego uznania znalazło. Stąd nowy ruch po parafiach a dla nas zwiększony nawał pracy.

Będzie znowu o czem pisać ku pociesze N. X. Wizytatorowi, który, jak wiem, bardzo zawsze misye poważał, ku rozrywce kochanym konfratrom, którzy nas mile żegnają, kiedy wyjeżdżamy, jeszcze milej witają, kiedy powracamy — a podobno i pacierze mówią, żeby nam Bóg w tych pracach błogosławił.

Borzęcin.

Jest to wieś ogromna w powiecie brzeskim, ciągnąca się nad rzeczką Uszwicą, dopływem Wisły, kilka kilometrów a licząca przeszło 5000 dusz. Przed laty i wieki należał Borzęcin do dóbr biskupów krakowskich. Bodzanta Porai z Jankowa wybudował tu kościół jeszcze w r. 1364 a Zbigniew Oleśnicki, kardynał, i Jędrzej Trzebicki fundowali szpital dla ubogich, co dotąd przetrwało. Zaledwie nasi konfratrzy na Stradomiu osiedli, dali tu misyę przez 4 tygodnie, inni kilkadziesiąt lat po nich drugi raz się tu wybrali; ale za każdym razem twardo szły sprawy. W r. 1687 na św. Antoniego, skończywszy gdzieś w pobliżu misyę, zjechali do Borzęcina we czterech. Posłał ich Jan Nałęcz Małachowski książę-biskup krakowski, nie powiadomiwszy o swym zamiarze prepozyta borzęckiego. Na domiar nieszczęścia ówczesnym obyczajem wzmiankowany prepozyt nie rezydował w Borzęcinie ale w Kielcach — a tu inni księża za niego parafii pilnowali. Przybywają nasi, a tu miejscowi nie dadzą misyi zacząć. Pozwolili z biedą; ale znowu, skoro się naród ruszył do konfesyonałów, nie pozwolili im spowiadać. Dowiedział się o tem biskup i wpływem swoim burzę uspokoił. Misya trwała 4 tygodnie, w którym to czasie 3000 wyspowiadali. Na zakończenie misyi zjawił się i on prepozyt. Lud licznie zebrany, wzruszony wpływem misyi bardzo go ucieszył; z drugiej strony nasłuchał się rozmaitości od miejscowych księży malkontentów. Żeby sobie ulżyć i zaznaczyć swoją dbałość o parafię, wypisał do biskupa żałobę, że Misyonarze misye przeciągają, nie pracują *propter Jesum sed propter esum et ad amplianda sua latifundia,* że Komunię św. do 8 dni odkładają etc. etc. W konsystorzu nie wiedzieli zrazu, co z tym fantem zrobić. Dopiero gdy nasi przedłożyli krótkie wyjaśnienie, jak ś. Wincenty misye pojmował i jak je prowadzić kazał, odczytali to sobie na sesyi — i wszyscy *Capitulares* pochwalili ich i ich prace — a sam biskup jeszcze gorętszym stał się Zgromadzenia naszego przyjacielem. To zdarzenie (nawiasowo mówiąc) daje do zrozumienia, że już wtenczas

mieli nasi takich „przyjaciół w Chrystusie“, co im łatki z boku, gdzie mogli, lepili. W r. 1775 inni znowu przybyli; ale wybuchła wojna, to znowu zaczynał się jubileusz — i musieli z niczem wracać.

My, dzięki Bogu, podobnych niespodzianek nie mieliśmy tym razem. Najtrudniejszy był chyba sam wyjazd. Zasiedzieliśmy się przeszło $1/2$ roku — to i bieda wyruszyć z miejsca. Dawni druhowie, co już wprawnie na misyach wywijali, porozjeżdżali się po Ameryce, po szpitalach; zostaliśmy tylko obaj z X. Kamińskim na tym posterunku. Na szczęście bawił u nas na Kleparzu JMć. X. Tyczkowski, niedawno zwolniony z przełożeństwa w Sarnkach, a wybiegany kursor misyjny ze wschodniej Galicyi; on też udział przyjął. Toby było trzech; a do tych przyprzągnąwszy dwu kapłanów młodych, znalazło się nas aż pięciu. I tak razem wyruszyliśmy na placówkę zaraz po N. Roku tj. dnia 2. stycznia. Proboszcz to nie taki, jak ów „*predicator*“, o którym stare dzieje piszą, że naszym misyi nie dał zacząć, potem spowiadać nie pozwolił, ale człowiek serdeczny, szczery — więcej niż brat rodzony. Poznaliśmy zacne jego serce w Łososinie pod Limanową, gdzie 10 lat pasterzował a w tym czasie 3 razy u siebie zajął nas pracą... Gdyby się obok Łososiny przejeżdżało a do niego nie wstąpiło, za grzech śmiertelny toby uważał. Tylko się do Borzecina dostał, już o nas myśli. W r. 1903 świeccy księża pod kierownictwem X. Dra Górki z Tarnowa, a tutejszego rodaka, dali tu rekolekcye, kilka lat temu OO. Jezuici głosili tu z ognistym św. Ignacego duchem płomienne kazania misyjne — wszystko to u tego proboszcza niczem, nas zwerbował.

A jak starannie, najdrobniejszy szczegół obmyślił, żeby Misyonarzom niczego nie brakło, to chyba i matka lepiej nie potrafi. List za listem pisał, jak się mamy urządzić, jak co będzie, żeby jak najlepiej wypadło. Pozwolę sobie tu niektóre urywki z tych listów przytoczyć. Pisze np. tak: „Dziękuję za szczere zajęcie się mojemi misyami; lecz dzień zaczęcia musicie Ojcowie opóźnić. *Dominica vacat* jest mi ogromnie

niedogodna. To są święta, a jakże w taki czas łóżka urządzać etc. Przed misyami muszę sobie dużo rzeczy z dalsza zapisać, sprowadzić, fury posyłać, a to podczas świąt niemożebne. Dlatego proszę, abyście Ojcowie przyjechali 2/1 i zaczęli 3/1 albo od Trzech Króli; przecież i wam potrzeba po adwentowej robocie trochę wypocząć". Kiedy indziej znowu tak: „Przy spowiedzi kobiet i dziewcząt damy sobie radę! was 5, nas 2, do tego ze Szczepanowa wytrwały pracownik — w ośmiu jakoś pojedziemy! Na chłopów i parobków będę prosił o jednego lub 2 zakonników z Tarnowa lub Krakowa, ale na to mamy czas. Do Biadolin droga okropna i moglibyście się Ojcowie na parę kawałków rozlecieć, dlatego absolutnie proszę wysiąść w Słotwinie. Fury będą na godz. 9½ a jeszcze dobrze przed południem staniecie loco. Napycham dla was śtruzaki, kopolstry znoszą ze wsi, mogę też każdemu po 2 pierzyny dać, bo w to Borzęcin bogaty. Żeby Ojcowie mieli dobry głos, przysłały mi baby parę kóp jaj, możecie pić na surowo. Zima się robi; oby choć nie było dużo gradusów, boby te baranki, co się najbardziej boją misyi, mieli dobrą wymówkę — i niepokazaliby się zupełnie" etc. etc.

Nie mogę jeszcze pominąć korespondencyi, w której moralny stan parafii doskonale ujęty, a zwykle o tę grzeczność prosimy proboszcza, nim wyjedziemy na misyę, żebyśmy wiedzieli, jak się do parafii brać. Jeżeli zaś o tem w sprawozdaniach wspominam, to dlatego, że one zostają dla nas nie tylko wspomnieniem z odbytych prac, ale i wskazówką cenną dla samych misyonarzy, (tych samych, czy innych — mniejsza o to) kiedy im w tej samej parafii wypadnie dać renowacyę. Będzie to zresztą obrazek maleńki potrzeb ludu, z któremi w dzisiejszych czasach tu w zachodniej Galicyi przecie wszędzie Misyonarz się spotka.

„W Borzęcinie panuje: 1) *Pycha okrutna.* Mając się dobrze i spokrewnieni z panami, urzędnikami i księżmi, głowę noszą wysoko; każde kazanie jest znicowane, każde zarządzenie omówione, księży nie bardzo szanują — ot za

pan brat. Jest to wieś ten Borzęcin, ale stojąc gęsto, ma cechy i wady małego miasteczka. 2) *Pijakow* dużo; wódkę piją prawie wszyscy z wyjątkiem ślubowanych, których niestety mało. 3) Naród tu dziwnie krwisty, *namiętny*; sexciarze na wszystkich klawiszach biegli; u dziewcząt mało wstydu, chłopaki lubią po nocach uganiać. 4) *Bitki* krwawe a nawet zabójstwa z lada powodu często się trafiają. 5) *Kradzieże* i wypasanie. Każdy chłopak i dziewczyna kradnie rodzicom, co może, wynosząc to do żydów na wódkę, papierosy, stroje; zdzierstwo, drożyzna. Grunta nawet plebańskie (przez niedozór) są tak obgryzione, że na wiosnę trzeba będzie kilka procesów wytoczyć. Mesznego niektórzy po kilka i kilkanaście lat nie składali; z kościoła nawet kradną. 6) Są tu i tacy, którzy całemi latami byli w krajach protestanckich, w Ameryce, a wrócili stamtąd zdeklarowanymi socyalistami, anarchistami a nawet ateuszami. 7) Najgorsze parobczaki; tych można co drugiego wieszać na szubienicy. 8) Wogóle Borzęcin bardzo mądry — ale do złego: anonimy lubią pisać, podawać do gazet, skargi do biskupa stylizować.

Ależ przecież są i dobrzy, bobym chyba z moimi Borzęciakami wjechał żywcem do piekła, gdyby nawet 5 sprawiedliwych nie było. Są dusze pobożne, tercyarki; z tych atoli będzie kilkanaście zwaryowanych, chcą codzień chodzić do Komunii św. bez spowiedzi. Służba kościelna znarowiona, niedołęgi, pijaki a przytem draby skończone. Krótko mówiąc: gniazdo jaszczurcze. Oby Bóg dał, aby coś zrobić, bo jest źle — za dużo bezbożności.“

Tak tedy nastrojeni i rozstrojeni podwójnem uczuciem: pociechy z życzliwego serca proboszcza, ale i obawy, że pole naszej obecnej pracy tak zachwaszczone, wyruszyliśmy na misyę w Borzęcinie jak na krucyatę jaką: nas trzech starszych: XX. Kamiński, Tyczkowski i ja tudzież dwóch młodziutkich kapłanów: XX. Szymbor i Steinsdorfer. Nam starszym to i nie dziwne podobne zapasy, bośmy ich wiele w życiu przeszli; o tych świeżych atletów baliśmy się więcej.

Pierwsze tu próby mieli przejść: siły wątłe, przy książkach wycieńczone; uszy nie obsłuchane, serca delikatne — a tu praca tak poważnie się zapowiada. Oby się tylko nie przestraszyli, nie zniechęcili!.. Według planu, na którym ostatecznie stanęło, wybraliśmy się d. 2. stycznia rannym pociągiem z Krakowa, stanęliśmy w Słotwinie po godzinie 9, a za godzinę przybyliśmy do Borzęcina. Mrozik trzymał szykowny, dobrze nam futra posiwiały — ale się zgrabnie jechało. Zaraz po południu, wezwawszy na pomoc Ducha św., zaczęliśmy na nieszporach pracę. Kościół dosyć obszerny, jednak na pomieszczenie całej parafii za mały; ale gdy się parafian na 4 stany podzieliło, w sam raz się pomieścili. Wciągu tej misyi wypadły 3 niedziele i uroczystość Trzech króli; wtenczas na sumach był ścisk nieznośny, aż ławki i konfesyonały łamali; kiedy indziej szła praca swobodnie. Na pierwszy ogień przyszły kobiety, wdowy, do których się przyłączyła spora paczka „ciotek“, a w te ostatnie bardzo obfitował Borzęcin. Były to albo staruszki — Bogu ducha winne, albo mężatki, którym już pustoty z głów wywietrzały, albo wreszcie i pustotnice, które porzuciwszy zbytki; poważnie myśleć i żyć zaczęły. Wszystkich było 1300. Spowiadało nas misyonarzy 5, miejscowych księży 2 — i daliśmy radę. Dziennie miewaliśmy po 2 nauki, to było można więcej konfesyonałów pilnować. Zapamiętały sobie dobrze nauki, choć naród na oko jakiś nieudatny; chyba i jedno słowo na marne nie poszło z nauki lub rachunku sumienia; ale szczególnie poruszały je X. Tyczkowskiego gromy. Jak im rozebrał jaki morał, a potem groźno spojrzał po narodzie (a przytem i persona groźna) a krzyknął: Ej ty, kobieto z Borzęcina, ej ty, dziewczyno z Borzęcina, powstawał w kościele jęk, że go przynajmniej do Tarnowa słyszano. Dziewcząt przyszło 800, z tych większa część takich, co po Prusach i Saksach jeżdżą a reszta drobiazg i szkolarki. Już to poważniejszy materyał; ale przy Boskiej pomocy i temu daliśmy radę. Dalej nadciągnął regiment chłopaków i starszych drągali i podrostków; tych było 750. Miny prawie u wszyst-

kich zgodne z opisem proboszcza wyżej podanym; ale coś było jednak w nich, żeśmy ich bardzo polubili. Cośmy się też naprosili, żeby dziewczęta i kobiety, idąc do kościoła lub wracając do domu, śpiewały drogą kolędy, to ładnie po lodach i śniegach głos poleci; nie posłuchały; a chłopaki, tylko im się o tem wspomniało, śpiewali. Zawodził każdy, jak mógł i umiał, ale śpiew był. Trafiliśmy na czas zimowy: nocy długie, ciemne, a żeby im było kazać przyjść o 3ciej po północy, toby byli przyszli. Pewnego dnia — po takiej zachęcie do kolęd — jeszcześmy sobie ranną medytacyę odprawiali, słuchamy a tu cała gromada chłopaków, ustawiwszy się między dzwonnicą a naszą rezydencyą, wyśpiewuje: „Dziś w Borzęcinie... wesoła nowina“ (zamiast kolędy: Dzisiaj w Betlejem). Rano sobie „na courage“ pośpiewali, przyszły pacierze, po nich exhorta, której klęcząco słuchają; wyklęczeli się tak z godzinę, to im się i zbytków odechciało. Zaczęła się spowiedź, co który z tych zwłaszcza większych wywijasów od księdza odszedł, to się wyciągnął krzyżem przed wielkim ołtarzem. Kiedy księża tak z godzinę pospowiadali, to się nie można było dostać do zakrystyi. Ludzi taki widok zbytników, mieszających łzy ciche z kurzem, rozczula, jakżeby i P. Bóg nie miał darować choćby i najgorszemu, takiemu marnotrawcy? Potem i ślubowali i do róż się zapisywali — i zrobiliby, wszystko dla P. Boga. Na tę seryę przybył do pomocy O. Paweł, Paulin ze Skałki, grzeczny i gorliwy księżyna i tak przecieżeśmy te kloce *(sit venia verbo)* obrobili na czas. Wreszcie ostatnia serya, senatory borzęckie. Przyszło ich 1.100. Mieszanina najrozmaitszej rozmaitości: i poczciwe chłopiska z kośćmi i z butami; to znowu pijaki, zbytniki, gazeciarze... no, wszelki wybór dobrego i złego. Niektórym przytwardą zdała się nasza mowa i nauka; inni przyjmowali ją z nieudanem wzruszeniem i prawem sercem. Jak się sami poruszali, zaczęli i innych wabić. Upolowali też ciekawy jeden okaz. Gdzieś w lasach pod Bielczą, mieszkał człowiek na pół zdziczały. Od całego szeregu lat jeździł światami, w kościele

nie był, kto wie kiedy — a u spowiedzi jeszcze dawniej. Wabili go sąsiedzi, jak mogli, żeby na misyę przyszedł, to mu perswadując, jak to ładnie w kościele teraz jedno po drugiem idzie, jacy Jegomoście przyjechali, to znowu stawali mu pod chatą i śpiewali, aż pewnego rana wpadło ich kilku, powiązali chłopa — i wzięli ze sobą do kościoła; podobno 2 go ciągło, 2 pchało, a 1 dowodził — i tak związanego przyprowadzili do zakrystyi. Chcę się do Mszy św. ubrać, a tu wołają: „Pójdźcie jeno JMość, mowa ptoska, boiwa się, zeby nom nie uciekł". Zbliżyłem się (nie bez tremy) do tego dzikusa. Zaczyna mi opowiadać, że był w Stryju, w Samborze, Kołomyi. — I ja go pytam: A byliście też u Pomrów — a we Wrocławiu, a w Chełmie, a w Bysławku? a wiecie, to jeszcze dalej niż Kołomyja i Stryj — i co chcecie. Pokręcił głową — otworzył gębę — i nie wiedział, co mi dalej powiedzieć. Pytam go tedy — a mówiliście dziś pacierz — mówiłem; no, przeżegnajcie się; a gdy się przeżegnał, podsunąłem mu spowiedź powszechną — z pacierza zeszliśmy na spowiedź — wyspowiadał się, potem do Komunii św. z innymi przystąpił, i jeszcze książeczkę na pamiątkę mu dałem. Aż się popłakał z radości. To ładna była zdobycz na czczo serca!

Jest tu staruszek, 84 lat liczący, Antoni Bach, który nasłuchawszy się nauk, rozpowiadał ludziom pod kościołem: Ej, wiecie chłopy, wszystko dobrze nauczają — tylko za późno. Miałeś tu dawniej taką naukę?!" Podobno kiedyś za młodu pisywał on wierszyki okolicznościowe na wesela, chrzciny etc. W czasie misyi jeszcze raz konceptem ruszywszy, taki nam wierszyk wypisał ciesielskim ołówkiem:

Tytuł: „Podziękowanie Oycom Duchownem za ich ciężkie prace, które podięni dla naszego zbawienia".

„Dziękujemy Oycom Duchownem, że do nas przybyli,
Żeby nas dobrego życia nauczyli;
I wszyscy nad tem ciężko pracowali,
Ażeby nas z rąk szatańskich wyrwali.

Ażebyście z waszych prac tyle korzystali,
Żebyśmy wiernymi Bogu sługami się stali.
A także i ci wszyscy, którzy ślubowali,
Żeby wiernymi Bogu do śmierci zostali.
Niech wam P. Bóg błogosławi, da wam długie życie,
W tem życiu czerstwe zdrowie, majątku obficie.
Gdy po stu-letniem życiu wezwie was do siebie,
Da wam za prace duchowne odpoczynek w niebie.
Żeby was wasi rodzice w niebie oglądali,
I wraz z wami na wieki Boga wychwalali!“

Taki ten Borzęcin w pierwszej chwili straszny, przerażający, na poczekaniu stał się potulny podobnie jak inne parafie, któreśmy przeszli. Praca szła umiarowo, regularnie, żaden stan nie zaciągał na drugi. O. Paulin odjechał na św. Pawła do klasztoru, to znowu na chłopów przybył O. Alfons, Brat Mniejszy z Krakowa; przytem sąsiedzi ze Szczepanowa i Szczurowej, co mogli urwać czasu od kolędy i szkół, to wpadali, ratowali — i zawsze wygrzebaliśmy się na czas. Między seryami było jeszcze tyle czasu, żeby sąsiedni Szczepanów, miejsce urodzenia św. Stanisława odwiedzić, pooglądać, jak co było kiedyś, a jak teraz jest; można było przejść się po wsi wieczorem, a czasem się i rozerwać grzecznymi figlami, w czem młodsi wielką biegłość okazali, a miejscowy wikaryusz X. Józef Wilkowicz pomagał. Wszystkich ogółem ślubowało świeżo przeszło 2000; inni ponawiali; więc chyba rzadka taka rybka, którąby się z sieci św. Trzeźwości wymknęła. Róż mieli dosyć, a jeszcze się przymnożyło; do różańców i szkaplerzy całemi masami się garnęło — wogóle Borzęcin dzielnie się spisał. Naród zmiękł, spokorniał (bodaj prawdziwie!); przychodzili, opowiadali, co mieli i nie mieli na sercu. Na samym końcu przychodzi jakiś chłopek, żeby chciał z którym Misyonarzem pogwarzyć o ważnej sprawie. Mnie na to wydelegowali, więc go przesłuchałem. Żali się 1° że nerwowy; poradziłem mu barszcz dobry z francuskiem uchem; 2° że go bluźniercze myśli

zaczepiają; na to najlepiej tabaki zażyć; 3° często w złość wpada; na to znowu najlepiej się przespać. I pobiegł chłopina do domu, aż z tej uciechy książkę na wikaryjce zostawił.

Dnia 19. stycznia odprawiliśmy jeszcze solenne nabożeństwo za zmarłych, wróciliśmy znowu na Słotwinę do domu na Kleparz ale prawdziwie *quasi qui invenit spolia multa*, jak strzelcy, co dobrze obładowani z polowania wracają.

X. Józef Sokołowicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ameryka Północna.

(List X. Superyora Stanisława Koniecznego).

(Ciąg dalszy).

(Hamburg). Po obiedzie zwiedziliśmy olbrzymi ogród zoologiczny, gdzie zawsze mnóstwo podróżnych gapi się na zwierzęta, ptaki lub ryby, posprowadzane z najrozmaitszych stron świata. W ogrodzie zaskoczyła nas ulewna burza, chociaż przedtem była ładna pogoda. W Hamburgu, jak słyszałem, nie jest to żadna osobliwość. Nieraz na dzień pada deszcz 2 i 3 razy, potem znowu niebo wypogadza się i słońce przyświeca.

Dlatego mieszkaniec Hamburga, znający dobrze zmienne kaprysy temperatury, nie wychodzi nigdy z domu bez parasola, chociażby pogoda była najładniejsza, bo może być pewnym, że w drodze zmoknie. Na propozycyę X. Kisielewicza zamieszkaliśmy u Sióstr Boromeuszek, które prowadzą szpital „Marienkrankenhaus“ przy ulicy Alfreda. Do mieszkania naszego opiekuna było stąd daleko, lecz ładny pokój i wielka gościnność Sióstr wynagrodziły te małe niewygody. Siostry były nawet zadowolone, bo ich kapelan wyjechał na wakacye, nie miały więc w dni powszednie Mszy św. We wtorek zaczęliśmy zwiedzać miasto w towarzystwie X. Kisielewicza.

Przedewszystkiem chcieliśmy zobaczyć port i stojące na kotwicy okręty, o których mieliśmy takie wyobrażenie jak o żelanym wilku z bajki, i spróbować, jakie wrażenie zrobi na nas podróż po falach morskich. Wsiedliśmy na niewielki parowiec, zwany pospolicie śleprem, zapłaciwszy za przejażdżkę 50 fenigów od osoby.

Dzień był pogodny, ale wiatr od morza dął silny, a wzburzone fale zalewały często pokład, na którym staliśmy. Co chwilę przechodziliśmy z jednej strony na drugą, aby uniknąć słonej kąpieli. W drodze natrafialiśmy na liczne

okręty, z których jedne wiozły gości na spacer, inne znowu przybijały do brzegu, przepełnione robotnikami, wracającymi na obiad z różnych wysp. Na brzegach nad samą wodą stoją gęsto olbrzymie magazyny, naładowane po sam szczyt towarami, które stąd pójdą w najdalsze strony świata. Najwięcej zainteresowała nas flotylla wojennych okrętów norweskich. Były tam krążowniki, pancerniki, lecz najwięcej małych, nizkich, o czterech kominach torpedowców, które takie zniszczenie sieją w morskich potyczkach. Gdyśmy stanęli na brzegu, nogi chwiały się pod nami, a głowa kołysała się na wszystkie strony, zdawało się nam, że jeszcze płyniemy na okręcie, a fale huśtają nami. Nie tracąc czasu, weszliśmy po stopniach na wzgórze, wznoszące się nad portem. Jest to Elbhoehe, zwana popularnie „Stintfang", skąd ma się malowniczy widok na całą rozległą przystań. U stóp toczy swe mętne fale Elba, szeroka na 7 do 8 km., a na niej liczne wysepki; w dali widać, jak na dłoni las masztów, przystrojonych flagami różnych barw — z prawej strony urocza Altona ze swymi lasami i ogrodami, a bliżej przedmieście św. Pawła, z lewej nieprzejrzane grupy szarych kamienic, rozwieszonych po różnych dzielnicach Hamburga. Na szczycie wzgórza znajduje się szpital dla marynarzy, w którym majtkowie bez zajęcia mogą wynająć za tani pieniądz mieszkanie, a starzy lub chorzy mają wygodne asylum bezpłatnie. Obok tego schroniska stoi morskie obserwatoryum (Seewarte), które można zwiedzać w środy i piątki.

Najpiękniejszą dzielnicą Hamburga, która ma charakter wielkopański i odznacza się oryginalną pięknością, jest „Binnen-Alster". Jest to jezioro, tworzące nieregularny czworobok, mające w obwodzie 1.750 m. Z trzech stron otaczają je wspaniałe budynki i skwery z klombami kwiatów i krzewów. Dawniejsze wały, zamienione w ogrody i most, zwany „Lombardsbrücke", oddzielają „Binnen-Alster" od „Aussen-Alster". Na jeziorze panuje ciągły ruch. Jedne parowce przyjeżdżają do brzegu, drugie znowu wiozą dziesiątki podróżnych na przejażdżkę za miasto; amatorzy wiosłowania

po dwóch lub czterech pływają w małych łódkach, z których jedne mkną jak strzała przy pomocy żagli, drugie posuwają się wolno pod naciskiem wioseł. W tej uroczej stronie miasta znajduje się wspaniały budynek „Towarzystwa Hamburg-America“. Nad wejściem jaśnieje szumny napis: „Mein Feld ist die Welt“. Poszliśmy tam z jednym panem z Towarzystwa św. Rafała, które opiekuje się emigrantami. Wykupiliśmy nasze szyfkarty, podając dokładnie miejsce urodzenia, kraj, liczbę lat, stan i t. d. Zauważyłem, że urzędnicy wypytują się skrupulatnie poddanych niemieckich o różne szczegóły, lecz obcokrajowcy nie podlegają takim ścisłym indagacyom. Ja więc, nie należąc do państwa Hohenzollernów, przedostałem się szczęśliwie, lubo żadnych papierów nie miałem przy sobie.

W czwartek o godzinie 11-tej, podziękowawszy X. Kisielewiczowi za drogocenne wskazówki, wsiedliśmy na pociąg, który pasażerów I. i II. klasy odwozi do Cuxhaven, gdzie czekał na nas „Deutschland“. W przedziale oprócz nas było dwóch Niemców, z których jeden widocznie pierwszy raz wybierał się za ocean, bo ustawicznie przez okno wagonu wymieniał osoby, którym przez znajomego zasyłał ostatnie pożegnanie tak, że w końcu rozweselił i rozbawił całe towarzystwo. Zresztą byli to sami Amerykanie, doświadczeni podróżnicy, którzy już nieraz odbywali tę podróż, siedzieli więc spokojni, obojętni, jakby jechali na jakąś wycieczkę. Morza nie było jeszcze widać, a już w powietrzu unosił się zimny chłód i wilgoć, nasycona solą; w dodatku deszcz zaczął bić jakby rózgami w okna. Ukazały się wreszcie po dwugodzinnej podróży wysokie wały ziemne, a za nimi w dali sine fale morskie, które pod wpływem silnego wiatru szybko pędziły, a przybywszy do brzegu, jakby zagniewane, że śmie powstrzymać je w ich rozpędzie, odbijały się spienione z głośnym bełkotem. Wsiedliśmy na parowiec, który miał zawieźć nas na Deutschland, stojący zdala od brzegu spokojnie na kotwicy, tylko czarny dym, buchający z czterech olbrzymich kominów, świadczył, że kolos ten jest gotowy do rychłej po-

dróży. Zaledwie okręt nasz odbił od brzegu, gdy na pokładzie Deutschland'u ukazała się cała załoga okrętowa. Służba w granatowych mundurach z błyszczącymi guzikami, ustawiona w długim szeregu, czekała tylko rozkazu, aby rzucić się na podręczne torby podróżne, które wiózł nasz okręt. Część zaś stuartów (taką bowiem nazwę mają lokaje okrętowi) witała nas dźwiękami skocznego marsza, chcąc widocznie osłodzić smutek i zabić tęsknotę za stałym lądem.

O godzinie 6-tej wieczorem, gdy już przeniesiono wszystkie bagaże i usunięto pomosty, łączące obydwa okręty, Deutschland, zaryknąwszy ochrypłym i jakby z podziemia pochodzącym głosem hasło — wyruszył w drogę. Z początku płynął powoli i spokojnie tak, że trudno było zmiarkować, że już płyniemy, potem chyżość zwiększała się stopniowo aż doszła do najwyższego rozpędu.

Jak orzeł, zanim wzbije się w błękity, raz, drugi i trzeci odbija się od ziemi, by nabrać rozpędu, a wreszcie mknie jak strzała, tak okręt, nabrawszy pary, leciał jak na skrzydłach, krając wody Oceanu potężnemi śrubami i zostawiając po sobie białą, spienioną rzekę wzburzonej wody. Chwila odbicia od brzegu należy do najciekawszych w podróży morskiej. Przeto wszyscy podróżni stali na pokładzie, przyglądając się niknącym jakby we mgle brzegom. Rozpłynęły się w powietrzu ciemne kontury brzegów, zniknęli ludzie, tylko mewy długi czas leciały za okrętem, żałośnie krzycząc swym smutnym głosem. Wyszukaliśmy przy pomocy służby naszą kajutę, położoną prawie w środku okrętu, mającą tę wygodę, że okno wychodziło na morze i dostarczało świeżego powietrza. Na pokładzie jeszcze tego wieczora zrobiliśmy znajomość z kapłanami, jadącymi tak jak my drugą klasą. Było ich ośmiu: jedni z nich od kilkunastu lat mieli parafie w Stanach Zjenoczonych, inni jechali dopiero szukać szczęścia za morzem. Najlepszych jednak wskazówek co do porządku i zwyczajów, panujących na okręcie, udzielił nam pewien amerykański bankier z Jersey-City, z którym poznaliśmy się na kolei w drodze do Cuxhaven. Wracał on z Europy

z podróży wakacyjnej. Chociaż protestant, przestawał na okręcie najwięcej z katolickimi księżmi. Zapewniał nas, a mówił czystą prawdę, jak sam przekonałem się później, że w Ameryce niema tej walki między protestantami i katolikami, jaka wre w Europie. Oto on sam, jako wielki amator muzyki, grywał na organach bezpłatnie przez kilkanaście lat w jednym z kościołów katolickich. Jest to człowiek bardzo miły i uprzejmy. Życia na okręcie nie opisuję dokładnie, bo znane jest z listów moich poprzedników. Nieraz słyszałem, że kanał La Manche jest bardzo niespokojny, że panują tam częste burze, obecnie stwierdziliśmy to na sobie samych.

Morze zrazu spokojne i ciche, w nocy gdyśmy zbliżyli się do kanału, zaczęło burzyć się i wznosić w kształcie olbrzymich wałów; okręt, nie dając za wygraną, trzeszczał prawie w spojeniach, ale śmiało wspinał się na fale i gniewnie spychał je pod siebie. Na pokładzie niepodobna było utrzymać się na nogach, bo huśtał się jak kołyska na biegunach. Tej nocy, zdaje mi się, że prawie wszyscy wbrew swej woli musieli złożyć daninę Neptunowi. Nazajutrz, to jest w piątek około 10-tej godziny okręt zarzucił kotwicę w Douvres. Słońce po wczorajszym deszczu przyświecało blado. Port był pusty, bo powietrze było chłodne, widok zaś pobrzeży bardzo smutny. Białe, wysokie ściany, prostopadle sterczące z morza, wyglądały na tle czarnej wody jak żałobny szlak na całunie. Wsiadło kilku nowych pasażerów, wrzucono kilka worków poczty, kilka pak zakonserwowanego mięsa i jarzyn i popłynęliśmy dalej. Tego samego dnia o godzinie 6-tej wieczorem byliśmy w Cherbourg'u. Nasz okręt przystanął tym razem na otwartem morzu, a podpłynął do nas mały parowiec francuski, który przyciągnięto do naszego okrętu zapomocą grubej liny i po spuszczonym pomoście weszło zaledwie kilka osób, a między nimi jakiś francuski kapłan. Portu nie widzieliśmy wcale, lecz brzegi były obstawione gęsto bateryami, z których groźnie błyszczały paszcze armat, zwróconych na morze. Przystanek trwał zaledwie kilkanaście minut. Przez pewien czas widać było zielone brzegi pięknej Francyi, które

wielu pasażerów żegnało smutno: Adieu la belle France. Następne dni były bardzo smutne i ponure. Deszcz siekł bez przerwy, wiatr dął silnie, okręt jednostajnie skrzypiał, a fale wody z hukiem odbijały się od ścian parowca. W dodatku, gdyśmy zrównali się z wyspami Nowo-Fundladzkiemi, wilgotne zimno przenikało do szpiku kości. Wszystko to przeraża, uciska i sprawia, że jakieś zniechęcenie, apatya i melancholia ogarnia podróżnego. Dopiero gdy okręt wpłynął na Golfstrom, nastała jaśniejsza część podróży.

Pogoda miła, ciepły i łagodny wietrzyk oraz cudne zachody słońca, a z drugiej strony to, że okręt płynął tak lekko i równo, że zdawało się, że to nie morze, lecz jakiś olbrzymi staw, wpłynęło tak uśmierzająco na pasażerów, że zaczęło się wesołe życie na okręcie. Półtorej doby mieliśmy jeszcze do Nowego Jorku, kiedy kapitan zatelegrafował zapomocą przyrządu Marconi'ego, donosząc godzinę, o której okręt przybędzie do portu i prosząc o świeże wiadomości. Doniesiono, że w Nowym Jorku panują wielkie upały, i że Japończycy odnieśli jakieś zwycięstwo nad Moskalami. Wieczorem w środę ogłoszono na tablicy, że, jeżeli noc będzie pogodna, odbędzie się na pokładzie zabawa z tańcami. Pogoda nie zawiodła, wieczór był miły i ciepły. Majtkowie udekorowali cały pokład flagami w amerykańskich i niemieckich kolorach narodowych. Na suficie pokładu umieścili całe szeregi różnokolorowych lampek elektrycznych i sala balowa była już gotowa. Po kolacyi ustawiła się orkiestra w środku między pierwszą a drugą klasą i zaczęły się ochocze pląsy, trwające do północy. Nazajutrz rano już o godzinie 4-tej okręt zwolnił biegu i ledwo poruszał się naprzód. Nadpłynął bowiem na małym amerykańskim parowcu kapitan, który miał wprowadzić nasz okręt do portu. Wjazd do Nowego Jorku jest bardzo trudny. Morze wrzyna się w kształcie podłużnego lejka w ląd, a w koło znajdują się liczne mielizny, trzeba więc znać doskonale topografię portu, aby uniknąć tych wszystkich szkopułów. Stąd każdy parowiec, przyjeżdżający z obcych stron, otrzymuje amerykańskiego kapitana, który

kieruje okrętem aż do samej przystani, to jest do Hoboken. Jeszcze w drodze do portu przypłynęły do nas trzy parowce: jeden zabrał pocztę, drugi przywiózł komisyę sanitarną, aby zbadała stan zdrowotny pasażerów, a trzeci komisyę celną, przed którą trzeba było na piśmie złożyć deklaracyę, ile mamy pakunków i jakie przedmioty, podlegające cłu. Lekarze, dowiedziawszy się od swego kolegi okrętowego, że w drodze nie zdarzył się żaden wypadek choroby, poprzestali na tem; celnicy trzymali nas parę godzin jakby w oblężeniu. Tymczasem okręt wpłynął do portu, zarzucił olbrzymią kotwicę, położono dwa mosty, po których pasażerowie mogli zajść do wielkiej hali cłowej, gdzie czekali na nich znajomi lub krewni. Przez chwilę ogarnęło nas niemałe zakłopotanie, gdyż przeszliśmy raz i drugi halę i nigdzie nie spotkaliśmy żadnego z naszych konfratrów. Wkrótce jednak zjawili się X. X. Głogowski i Waszke. Wyczytali w gazetach, że Deutschland przypłynie o godzinie 10-tej rano, a my tymczasem przyjechaliśmy wcześniej o dwie godziny i dlatego trochę się spóźnili. Pomogli nam załatwić wszystkie formalności i wydobyć nasze pakunki. Szczęściem urzędnicy cłowi, którzy rewidowali nasze kufry, byli bardzo uprzejmi i łaskawi, skutkiem tego nic nie zapłaciliśmy od naszych rzeczy. Tak tedy cała nasza podróż morzem nie trwała dłużej jak sześć dni i kilkanaście godzin. X. Sołtysek według rozporządzenia Przełożonych osiadł na stałe w Nev-Haven Conn., gdzie miał pomagać w pracy parafialnej X. Głogowskiemu, a mnie i moich towarzyszy czekała długa tułaczka, której końca jeszcze nie widzę. Dom, ofiarowany Zgromadzeniu przez X. Tomiaka, proboszcza z Manayunk Pa., jak się okazało, potrzebował znacznej restauracyi. Przez długi czas był on niezamieszkany, piwnica źle urządzona, a ściany, niewiadomo w jakim celu, wysoko zasypane ziemią; wskutek tego dostała się wilgoć do pokojów na parterze położonych tak, że niepodobna było w nich odrazu zamieszkać. Trzeba było wprzód zebrać w około ziemię na jeden metr wysoko, zrobić odpływ dla wody deszczowej i powstrzymać w ten sposób zgubne dzia-

łanie wilgoci, potem wewnątrz urządzić mieszkania i zaprowadzić parowe ogrzewanie, bo w Ameryce piece są zupełnie nieznane. Roboty te postępowały dość raźno pod okiem samego fundatora tego domu. To jedna przyczyna, dlaczego odrazu nie otworzyliśmy domu misyjnego w Conshohocken, druga zaś była jeszcze ważniejsza. Jeszcze ś. p. kardynał Ledóchowski za swoich rządów wydał rozporządzenie jako Prefekt Propagandy, że żaden ksiądz polski ani żadne Zgromadzenie czy męskie czy żeńskie nie może osiedlić się na stałe w Ameryce bez osobnego pozwolenia z Propagandy.

Arcybiskup z Filadelfii, X. Ryan, opierając się na tym dekrecie, oznajmił nam, że chociaż kocha nasze Zgromadzenie, nie może pozwolić, abyśmy przed nadejściem pozwolenia z Rzymu objęli dom, ofiarowany nam w Conshohocken. Da nam, jeśli chcemy, wszystkie potrzebne facultates, możemy odprawiać misye w całej jego archidyecezyi, lecz domu otwierać nam nie wolno. Kiedy wspomnieliśmy, że nasze Zgromadzenie jest już w jego archidyecezyi, bo mają nasi angielscy konfratrzy w Germantocon parafię i wspaniałe kolegium, odpowiedział, że my jako „distincta provincia“, mająca osobnego wizytatora, potrzebujemy zatwierdzenia z Rzymu. Te okoliczności sprawiły, że parę miesięcy musieliśmy pozostać w domu konfratrów w Nev-Haven. Przez cały wrzesień pracowaliśmy w kościele konfratrów, a Polacy dowiedziawszy się, że w Nev-Haven jest pięciu księży, że mogą bez natłoku i pospiechu wyspowiadać się, przyjeżdżali nawet z dalszych stron. W tym miesiącu zastępował X. Waszke przez dwa tygodnie X. Puchalskiego, proboszcza z Brooklyna, a potem wraz z X. Trawniczkiem urządzili 40-godzinne nabożeństwo w tem samem mieście u X. Nawrockiego. X. Konieczny zaś udał się do Hartford, gdzie przez cały październik zastępował tamtejszego proboszcza, X. Łozowskiego. Hardford jest to stolica stanu Connecticut i rezydencya biskupia. Oddalone od Nev-Haven trzy kwadranse drogi, jadąc koleją. Jest to miasto niewielkie, według spisu ludności z 1900 roku liczy 79.850 mieszkańców, ale bardzo ładne.

Posiada wielki i starannie urządzony park, w którym na wzgórzu wznosi się kapitol, to jest pałac z szarego kamienia z kopułą, pokrytą złoconemi łuskami. W tym gmachu znajdują się biura i kancelarye gubernatora i podległych mu urzędników. Wieczorami latem kopułę całą oświecają setkami elektrycznych lampek, co sprawia w ciemnościach nocy wspaniały widok. Gubernator stanu, wybierany przez obywali na sześć lub cztery lata zależnie od konstytucyi, obowiązującej w stanie, jest, można powiedzieć, udzielnym księciem i przysługuje mu jak panującym prawo karania śmiercią lub uwalniania od niej.

Parafia polska w Hartford jest tylko jedna. Powstała dopiero przed trzema laty. Posiadają Polacy niewielki, drewniany kościółek, ale miły, a w tym roku będzie ukończona budowa murowanej szkoły, którą mają prowadzić Siostry Felicyanki. Parafia ta jest młodą nie tylko ze względu na swe założenie lecz także na wiek parafian. Są to ludzie przeważnie młodzi, to też przez całe trzy lata, jak istnieje parafia, nie było jeszcze ani jednego pogrzebu starszej osoby. Najwięcej jest tu kobiet i dziewcząt, z których jedne służą na „plejsach“, to jest w domach prywatnych, dostając jako wynagrodzenie 15 do 20 dolarów miesięcznie, drugie po hotelach, których w Hartford, jako stolicy stanu, jest dosyć wiele, a inne pracują w fabrykach sukna lub jedwabiu, gdzie płacą im od sztuki. Większość tutejszych parafian pochodzi z Galicyi od Łańcuta i Kolbuszowy, reszta z różnych gubernii rosyjskich, a zaledwie kilka rodzin z Prus. Przyznać trzeba, że ogół prowadzi się moralnie, do kościoła regularnie uczęszcza, podatki kościelne opłacają ochotnie, jednem słowem nawet w Ameryce pokazują, że Mazury — to tędzy ludzie. Zadowoleni są z zarobku, lecz powiadają, że gdyby umieli język angielski, gdyby umieli czytać, pisać i trochę rachować, dwa razy tyle mogliby zarobić.

To nieuctwo szkodzi wszędzie naszemu ludowi. Drukowane książki do nabożeństwa potrafią jeszcze od biedy przesylabizować, lecz pisanych ani rusz. Przychodziły tedy

do mnie nieraz w niedzielę po nieszporach dziewczęta z prośbą, aby im przeczytać list, bo dostały go z kraju, a niema, ktoby go przeczytał. Dlatego też prawie w każdem mieście są wieczorne szkoły, w których analfabetów uczą czytać i pisać oraz dają im początki angielskiego języka. Zaznaczyć muszę, że lud nasz a zwłaszcza dziewczęta uczą się bardzo szybko języka angielskiego, a wymawiają tak czysto i poprawnie jak rodowite angielki.

X. Stanisław Konieczny.

List X. Waszke'go do X. Superyora Lewandowskiego.

Riverhead. Long Island, dnia 16 lutego 1905 r.

Kochany Księże Superyorze!

Generalny Wikary dyecezyi brooklińskiej, X. Novara, prosił nas przez X. Me Hale, superyora naszego kolegium w Brooklinie, abyśmy się zajęli tutejszą opuszczoną parafią polską. Wyjechałem tedy z South Philadelphia, gdzie pomagałem X. Dr. Bieli w pracy parafialnej, i od 12 lutego jestem tu jako tymczasowy administrator. Pozostanę aż do końca tego miesiąca. W ciągu tygodnia żadnego prawie zajęcia niemam, bo parafianie przeważnie są farmerami i do kościoła mają daleko. Korzystam z czasu wolnego, aby X. Superyorowi opisać, gdzie i co robiłem, począwszy od czerwca roku zeszłego.

Według umowy z X. Świdrem, który na czas dwumiesięczny chciał pojechać do Europy, przyjechałem 19 czerwca 1904 r. z New Haven do Bayonne, niedaleko Nowego Yorku. Zdziwiłem się, że go jeszcze zastałem; wynikało bowiem z telegramu, że już dwa dni przedtem okrętem wyjechał. Zaszło więc nieporozumienie, a to z tego powodu, iż nadany w łacińskim języku telegram urzędnik niedokładnie napisał. Dzień odjazdu naznaczony był na 28 czerwca. Trudno było wracać się; na szczęście wyzyskał tę pomyłkę X. Brzoziewski, polski kapłan ze stanu Island. Ponieważ chciał być obecnym na poświęceniu polskiego kościoła we Wheeling, Zach. Wirginia, zastąpiłem go na ten czas. X. Brzoziewski ma na wyspie Staten Island, blizko Nowego Yorku, nieliczną parafię polską, ale zapobiega także duchownym potrzebom innych narodowości, jak Włochów i Litwinów. Dzięki gorliwości Polacy w krótkim czasie zdołali postawić

wcale ładny kościół. Dolną halę kościoła przerobił X. Brzoziewski na szkółkę dla polskicb dzieci. Lud polski na tej wyspie bardzo mi się podobał, bo choć biedacy ciężko pracują po fabrykach żelaza i daleko mają do kościoła, jednak na Mszę świętą się stawili i mimo strasznych upałów kościół szczelnie zapełnilili. Korzystając z mego pobytu, spowiadali się przez cały tydzień. Niema tu inteligencyi, a przecież poczciwy organista, który jest również nauczycielem, zorganizował chór śpiewacki. Organista ten mógłby być wzorem dla swych kolegów, bo nie pije. Jest on także zakrystyaninem i chodzi koło P. Jezusa jak najlepszy braciszek klasztorny. Objechał prawie cały świat jako maszynista na okręcie rosyjskim i był w kościołach naszego Zgromadzenia w Konstantynopolu, Bejrucie, Szangaju i Pekinie.

Jest tu też szpital św. Wincentego. Obsługują go Siostry Miłosierdzia ale nie kornetowe, bo po oderwaniu się prowincyi baltimorskiej noszą czarne czepeczki. Byłem w tym szpitalu dwa razy zaopatrzyć chorych Polaków. Do chorego w Ameryce Północnej, jako w kraju misyjnym, idzie się zupełnie po świecku. Przykro nieraz pchać się przez ciżbę i siedzieć w tramwaju, a przytem mieć P. Jezusa na piersiach; ale trudno, nie zaszedłby kapłan nawet za kilka godzin. Zamiast ludzi aniołowie cześć oddawać muszą P. Jezusowi.

Na południowej stronie wyspy Island są morskie kąpiele Midland Beach. Tuż nad brzegiem morza wznoszą się budynki kąpielowe i hotele. Dla rozrywki gości urządzają się zabawy. To też w letnich miesiącach pełno tu ludzi różnego stanu i wieku, bo za 1 dolara wykąpać i ubawić się można. Kapłani również używają przyjemnej i orzeźwiającej kąpieli morskiej. Korzystałem i ja z tej swobody i do tego w czasie burzy morskiej, bo wtedy niewielu jest ochotników. Niema żadnego niebezpieczeństwa utonięcia. Brzeg miarowo się zniża a gruba lina odgranicza miejsce, do którego bezpiecznie posunąć się można. Widziałem jednak doskonałych pływaków, którzy śmiało na wolne morze się puszczali. Pobyt na tej wyspie wcale był przyjemny, powie-

trze zdrowe i upały nie dały się tak odczuć jak na stałym lądzie; jedna tylko tu plaga — komary lub moskitos, jak je tu nazywają. Choć mniejsze są od naszych, jednak daleko więcej dokuczliwe. Wystarczy, że 2 lub 3 znajdą się w pokoju, oka zmrużyć nie pozwolą. Siatki na okna nie zawsze pomagają, bo z miryadów zawsze trafią się przebiegłe śmiałki, uprawiające koło siatki dopóty sztukę gimnastyczną, dopóki nie dostaną się do pokoju. Dla odpędzenia ich w pobrzeżnych miastach palą wieczorami drzewo, papier, szmaty przed domem, a w ustach i w ręku trzymają palącą się, cieniutką trzcinę.

Dwudziestego ósmego czerwca objąłem pracę parafialną w Bayonne, mieście nadmorskiem w stanie New Jersy, w parafii X. Świdra. Pozostałem tu aż do 5 sierpnia. Polaków tu około 300 rodzin; prócz tego jest jeszcze parafia słowacka grecko-katolicka i narodowo polska czyli niezależna tuż na przeciw kościoła parafii rzymsko-katolickiej. Niezależni X. Świdra nie cierpią, gdyż ściga ich sądownie, gdzie tylko może. Wyprocesował od nich dawny kościół polski, który zabrali dla siebie. Za mojego pobytu odprawiali już w nim nabożeństwa Rusini, bo im się cerkiew spaliła. Ponieważ potrąciłem o niezależnych, dodam jeszcze kilka uwag z własnego doświadczenia w tej sprawie.

Mówi się, że nasz naród najwięcej przywiązany do wiary św. Prawda to rzeczywista w ojczyźnie, ale na ziemi amerykańskiej sprawa się inaczej przedstawia. Jakaż więc jest przyczyna, że chłop polski w Ameryce traci wiarę? Św. Paweł w liście do Tymoteusza (6, 10) powiada: „Korzeń wszego złego chciwość; którzy jej zapragnęli, zbłądzili od wiary“. Słowa te stosują się do naszego chłopa. Przyjeżdża z kraju, odrazu zarobi 1—2 dolar. a później i więcej. Jeżeli jest lekkiego usposobienia, wdaje się z półgłówkami, co w Europie za sobą mosty spalili, słucha w karczmie śmiałej, bezczelnej krytyki tutejszych urządzeń kościelnych! W kraju dla niego biskup i ksiądz był osobą nietykalną, a tu widzi i słyszy, jak jemu równi na duchowieństwo wygadują i jak wobec proboszcza swego postępują, Z łatwością zarobkowania idzie

w parze chęć używania i ubierania się po pańsku. Ponieważ musi się wpisać do parafii, regularnie płacić kolekty miesięczne i starać się składkami niedzielnemi o utrzymanie księdza i kościoła, wydaje mu się, że on może i jednym i drugim rządzić i unosi się pychą. Budzi się w nim nieznośna buta chłopska i stąd wynikający upór, kiedy swego dopiąć nie może. W kraju mało co wiedział o patryotyźmie a tu wciąż mu w uszy trąbią, że jacyś biskupi a j r y s c y rządzą Polakami, że w kościele nie wolno po polsku śpiewać Potrzeba tylko, aby się jaki kapłan apostata nawinął i pochwalił go, że sprawy polskie najlepiej pojmuje, że w kościele narodowo-katolickim P. Bogu po dawnemu służyć może, wtedy własny proboszcz nic mu powiedzieć nie śmie, bo zagrozi, iż pójdzie do tamtego kościoła. A gdy istotnie nie można w sprawach parafialnych na zachcianki zbałamuconego chłopa się zgodzić, przechodzi bez zwłoki do obozu przeciwników — wiem o tem z własnego doświadczenia, jakiego właśnie nabyłem w Bayonne. Na wszelkie napomnienia ze strony znajomych i krewnych, że częstokroć ten jego ksiądz niezależny był w starym kraju organistą lub parobkiem i nie ma żadnych święceń kapłańskich, on w swej mądrej głowie znajdzie odpowiedź, że przecież i w ich kościele ksiądz tak samo odprawia Msze św., tak samo się ubiera i na tem koniec. Ponieważ doniesiono mi, iż niezależni czekają tylko na wyjazd ks. Świdra, aby się pojednać, bo jego się boją, skorzystałem z tego i zaraz na pierwszem kazaniu obrałem sobie za temat „Kościół niezależny“. Starałem się wykazać fałsz, uważając jednak, żeby ich goryczą nie zrazić, gdyż przyszli z ciekawości do kościoła. Jakiż stąd skutek? Ani jeden się nie zgłosił — przyszedł wprawdzie jeden nie z Bayonne ale z drugiego miasta z J e r s e y C i t y [1]), który chciał żonie swojej pokazać, że mnie się nie boi. Mówili mu bowiem, że skoro do mnie przyjdzie, to go wyrzucę za drzwi. Przyszedł z taką pokorą, że mało łzami się nie zalewał, po-

---

[1]) Dżer-zy Sity.

dał nazwisko zmyślone, skłamał, że ma zmarłe dziecko do pokropienia na Mszy św., ale jest niezależnym, a widząc, że nie wyrzucam go za drzwi, jak się tego, zdaje się, spodziewał, zaczął się przymilać, no i otwarcie namawiać do schizmy. Kiedy mu prawdę powiedziałem, wpadł w szał, bluźnił Bogu i dopiero wtedy go wyprosiłem. Był to niejaki Sidziński, prawa ręka Hodura, nieszczęśliwego polskiego apostaty. Otóż to okazy zwydrzonego chłopa polskiego, lecz daleko straszniejszą odpowiedzialność bierze na siebie ksiądz, wstępujący w szeregi niezależnych. Jadąc z New Haven do Bayonne i takiego spotkałem. Jechał na poświęcenie zboru niezależnego w Bayonne. Rozmawialiśmy po łacinie; nie wiedziałem bowiem, kogo mam przed sobą. Odrazu przyznał się do niezależnych, twierdząc, że jako taki daleko więcej dla ludu polskiego zrobić może, aniżeli, gdyby był rzymsko-katolikiem. Za powód swego postępowania podał, że mu sumienie tak każe, że czyta codzień Pismo święte. Pozwoliłem mu się wygadać a zamiast odpowiedzi zapytałem się, czy go w seminaryum tego nauczyli; czy nie zna Lutra i Kalwina, którzy także Pismo św. czytali i co z niem zrobili? Nie wiedząc, jak się wykręcić, tłumaczał się, że dawniej był dobrym księdzem, ale go biskup doprowadził do tego; że tylko z konieczności do Hodura się przyłączył, bo nie miał żadnego utrzymania. Dobiły go do reszty *remorsus conscientiae:* „Już dla mnie pewnie niema ratunku“. Rozmowę naszą zakończyłem słowami: Rób co chcesz, ale pamiętaj na śmierć i straszny sąd, jaki cię czeka za twoje odstępstwo i za dusze, którym do potępienia pomagasz. Ja także jestem Polakiem, księdzem Misyonarzem. Wtedy oblał się rumieńcem po samą szyję i spocił się dobrze. Chciał jeszcze opowiedzieć rzekome krzywdy, jakie mu wyrządził X. biskup Szembek, ale nie wdawałem się już w dalszą dysputę, co go mocno skonfundowało.

W Bayonne parafia istnieje od 4 lat, kościół nowy dopiero wyprowadzony jakie 4 metry w górę, nabożeństwa jednak już się w nim odprawiają. Lud dosyć się garnie do P. Boga. Codzień miałem do spowiedzi tutejszych parafian;

przychodzili też z Broklina i z Jersey City. Na Mszę św. w dzień powszedni sporo ich chodziło, a w niedzielę był kościół zupełnie zapełniony wiernymi. Co niedzielę i święto miewałem po dwie Msze św. z kazaniem. W tym czasie w kościołach ajryskich (amerykańskich) sumy i kazania z powodu upałów się nie odprawia, tylko cichą Mszę św. Dla Polaków by to nie wystarczyło, wolą się pocić, ale mieć za to wszystko jak w starym kraju. Popołudniowe niedzielne nabożeństwo urządzałem w czasie wielkich upałów o godzinie 8 wieczorem. W chwilach wolnych wychodziłem na przechadzkę w stronę morza lub przejechałem się okrętem na przyległe wyspy, by orzeźwić się i schronić przed żarem słonecznym. Co niedzielę prawie odwiedzałem księdza słowackiego, który mi opowiadał o stosunkach Kościoła w Ameryce Południowej. Był w dyecezyi X. biskupa Szumachera. W czasie mego pobytu w Bayonne nadjechali nasi konfratrzy z Europy: X. Konieczny i Sołtyszek z bratem Grzegorzem, X. Sup. Głogowski i ja przywitaliśmy ich w Hoboken. Po krótkim wypoczynku w Bayonne wszyscy pojechali do New Haven, X. Konieczny został ze mną przez 2 tygodnie. Czwartego sierpnia przybył niespodzianie z Europy X. Świder i dnia następnego objął rządy swej parafii. Żegnani serdecznie przez niego, opuściliśmy razem Bayonne i podążyli do New Haven. W mojej nieobecności nasi konfratrzy przenieśli się z Dwight[1]) na John Stret[2]). Mnie zaś wypadało pojechać na pewien czas do Brooklina, dokąd X. Puchalski prosił o zastępstwo, sam bowiem miał wziąć udział w rekolekcyach kapłańskich. Udzielał ich X. biskup z North Carolina, Benedyktyn. Swoją serdecznością i wymową ujął sobie wszystkich. Ksiądz biskup Me Donell[3]) chciał kapłanom swej dyecezyi uprzyjemnić czas pokuty i wynajął hotel w miejscu kąpielowem Long Beach[4]) na cały tydzień. Razem z X. Puchalskim wyjechał także i X. Nawrocki, u którego mieliśmy zaraz po naszem przybyciu do

---

[1]) Duajt. [2]) Dżon Strit. [3]) Mek Donel. [4]) Long Bicz.

Ameryki pierwszą misyę, miałem więc w danym razie i parafianom X. Nawrockiego dopomódz w potrzebach duchownych. Parafia X. Puchalskiego jest na South Brooklyn[1]) jedyną i ma przeszło 2000 dusz. Wszyscy prawie pochodzą z Prus, są spokojni i pobożni. Jak długo jestem w Ameryce, nie widziałem jeszcze tylu na Mszy św. w dni powszednie, co tu. Do spowiedzi św. tylko siąść, już obstąpią konfesonał, a w sobotę ledwo rady im dać można. Wybudowali sobie śliczny kościół, który im już teraz X. biskup poświęcił; ja jeszcze odprawiałem w dawnej karczmie, którą wynajęto na kaplicę z konieczności. Po dwóch tygodniach pobytu wróciłem do New Haven, gdzie zwyczajnym trybem życia w Zgromadzeniu czas uchodzi.

W październiku, na Matkę Boską Różańcową, razem z X. Trawniczkiem pojechaliśmy na 40-godzinne nabożeństwo do X. Nawrockiego w Brooklinie. Na taką uroczystość tu w Ameryce zjeżdżają się kapłani do słuchania spowiedzi i głoszenia słowa Bożego. Chociaż X. Nawrocki zapewniał nas, że spodziewa się koło 25 kapłanów, byłby w niemałym znalazł się kłopocie, gdybyśmy nie byli się zjawili, bo zamiast 25 przybył jeden. Była wprawdzie niedziela lecz i w dniach następnych było ich tylko po kilku. Głosił słowo Boże przeważnie X. Trawniczek, ja miałem tylko jedno kazanie w niedzielę a drugie w poniedziałek. Do spowiedzi było koło 300, których słuchaliśmy po większej części sami. Powróciwszy do N. Haven, zastałem już nowe zaproszenie. Przy końcu października miało się odbyć 40-godzinne nabożeństwo w Shenandoah[2]) w stanie Pensylwania. X. Monkiewicz, tamtejszy proboszcz polski, prosił o jednego z XX. Misyonarzy z kazaniem i do słuchania spowiedzi. X. Superyor Głogowski uważał za stosowne, żebym ja pojechał, więc udałem się przez Philadelphia Manayunk[3]) do Shenandoah. W Manayunk wstąpiłem do X. Tomiaka, naszego Dobrodzieja, aby co do dalszej jazdy się porozumieć. Nie za-

[1]) Sant Bruklin. [2]) Szenado. [3]) Menejunk.

stałem jednak X. Tomiaka, był bowiem z pomocą w Hazelton[1]) w Północnej Pensylwanii, po zasiągnięciu więc informacyi u urzędnika kolejowego wyruszyłem w drogę i zajechałem szczęśliwie do Shenandoah, które leży już w górach Allegheny Mts[2]) i zaludnione jest przeważnie przez Litwinów i Polaków. Niemcy i katoliccy Amerykanie czyli Ajrysze są w mniejszości. Parafia litewska jest jedną z największych tej narodowości w Ameryce. Kościół mają śliczny w stylu gotyckim, wewnątrz ozdobiony olejnemi malowidłami. Parafie polskie są dwie, choćby na jedną nie było za dużo, ale to tak bywa, kiedy się jakaś parafia buduje: niezadowoleni odrazu zakładają drugą i tak długo nalegają na biskupa, aż im da kapłana. Wtedy skoro jeden proboszcz pokrzyczy, krnąbrny parafianin może się wpisać do drugiej i na odwrót. Coś podobnego także przyczyniło się do utworzenia nowej parafii w Shenandoach. Mnie proszono do głównego kościoła. Od soboty aż do środy przeważnie zajęty byłem spowiedziami. Kazanie wygłosiłem tylko jedno. Kapłanów z różnych dyecezyi zjechało się 15, wyspowiadało się około 500 osób. X. proboszcz ogłosił, że na cały czas będzie Misyonarz, garnęli się zatem do mnie i wielu prosiło o spowiedź generalną. Lud tutejszy pracuje tylko w kopalniach węgla. Nieszczęść tu bardzo wiele, widać Yankes mało dbają o życie ludzkie, byleby szedł bussines czyli geszeft. Powracając stąd, jeszcze raz zawadziłem o Manaynuk, gdyż umówiłem się z X. Tomiakiem, że go zastąpię na niedzielę, żeby mógł jechać na poświęcenie naszego kościoła w New Haven. Tak się też stało. Po powrocie X. Tomiaka znowu udałem się do N. Haven, skąd w kilka tygodni później wróciłem razem z X. Koniecznym i X. Trawniczkiem na stałe do Manaynuk, gdzie odprawiliśmy 40-godzinne nabożeństwo, którego jednak nie opisuję w tem przypuszczeniu, że uczyni to ktoś inny, który także sprawozdanie do „Roczników“ przygotowuje. Z dalszych podróży misyjnych wspominam pobyt mój w Reading u X. Ma-

---

[1]) Hezelton. [2]) Alegeni Maunts.

tuseckiego. Starszym XX. Konfratrom zapewne znane to nazwisko, bo X. Matusecki był jako kleryk w naszem Zgromadzeniu na Kleparzu. U niego spędziłem czas od 26 listopada do 5 stycznia 1905. W czasie adwentowym korzystali ludzie z obecności Misyonarza, garnąc się do spowiedzi. Głosiłem w niedzielę kazania a trzy dni w tygodniu, wyznaczone przez proboszcza do spowiedzi św., pracowałem w konfesyonale. W sobotę zaś po południu od 4 do 10 tak dużo penitentów przychodziło, że trudno było wszystkim zadość uczynić, przyczem tęgie mrozy wielce dokuczały. Polacy mają tu kościół obszerny, budowany na sposób starokrajski (rohbau), obok zaraz wystawili dużą szkołę, w której obowiązki nauczycielek wzorowo spełniają WW. Siostry Felicyanki. Z Reading i z Manayunk dojeżdżałem także do słuchania spowiedzi WW. Sióstr Bernardynek w Ridgewood. Mają tu duże gospodarstwo i prowizoryczny przytułek dla osieroconych dziewcząt, których jest 30. Zakład nie bardzo prosperuje, bo za daleko od miasta i do tego jest bez kapłana polskiego. Siostry te uczą także w szkołach po parafiach polskich, ale jest ich za mało. Na tem kończę sprawozdanie z prac misyjnych, zachowując opis dalszego ciągu działalności na drugi raz. Da Pan Bóg doczekać, uzbiera się coś więcej dla „Roczników“.

X. Waszke
n. k. Z. M.

„Dom Miłosierdzia“ w Poznaniu.

Przy ulicy św. Piotra w Poznaniu zwraca na siebie uwagę nowa, w stylu gotyckim wybudowana kaplica; do jej boku przytyka stary budynek, na którego szarem tle ponad bramą wchodową widnieje skromny napis: „Dom Miłosierdzia“. Co kilka chwil wsuwa się do kaplicy jakaś osoba, aby się pomodlić u stóp ołtarza, na którym umieszczono grupę Św. Rodziny, odlaną wprawdzie tylko z gipsu, lecz dziwnie piękną w swej niepokalanej białości. Ściana poza ołtarzem od połowy swej wysokości aż do sklepienia przechodzi w oranżeryę; w niej rozkwitłe róże, barwne lewkonie i pachnące hiacynty, tworzą jakby jeden różnobarwny klomb, jakby olbrzymi różnowzory wachlarz, na którym się rysują postacie wspomnianej grupy. Nowa kaplica stanęła głównie staraniem Czcigodnej Jubilatki Przełożonej, Siostry Ireny Łuszczewskiej.

Zaledwie wybudowała dla Pana Jezusa przybytek, myśli o rozszerzeniu „Domu Miłosierdzia“; pragnie bowiem jeszcze w bieżącym roku rozpocząć budowę nowego szpitala dziecięcego, na który już zebrała około 33.000 marek funduszu.

Zakład dotychczasowy, znany powszechnie jako „Dom św. Józefa“, związany jest ściśle z historyą Towarzystwa św. Wincentego a Paulo. W r. 1849 powstaje w Poznaniu pierwsza konferencya i urasta już w 2 latach do 130 członków. Lata koło połowy XIX. wieku były wogóle w Wielkopolsce dobą niezwykle intenzywnej pracy w kierunku politycznym i ekonomicznym. Cała prowincya zakwitła wtedy przemysłem i pracowitością rąk polskich tak, iż Klaczko czy Kalinka pisał jakby z zachwytem w „Wiadomościach Polskich“: „Ze wszystkich ziem naszej ojczyzny, Wielkie Księstwo Po-

znańskie najwięcej dowodzi tych cnót obywatelskich i politycznych przymiotów, które naród z upadku dźwigają i do samoistnego przygotowują bytu. Nie tylko tu w sercu i wyobraźni gorąca dla Polski miłość, ale i w życiu codzienna o Polskę troska, codzienna dla niej ofiara; nie tylko wiele tu ludzi oddanych pracy publicznej, ale wiele też pracy bezimiennej, nieosobistej, wspólnej a szykownej".

W tej szykownej, wspólnej, nieosobistej pracy zostawiła za sobą szlak bardzo jasny troska o biednych. Towarzystwo św. Wincentego a Paulo urządziło w 1864 r. walne zebranie członków z Wielkopolski; zgromadziło się wtedy 300 przedstawicieli 60 konferencyi, a wyrzucano sobie jeszcze, że nie było konferencyi 600.

Bardzo gorliwem i czynnem okazało się Towarzystwo w samym Poznaniu, które w r. 1854 rozdzieliło się na trzy parafialne konferencye: św. Marcina, św. Małgorzaty i św. Maryi Magdaleny.

W czerwcu tego samego roku zawiązało się w Poznaniu Towarzystwo Pań Miłosierdzia i wytknęło sobie natychmiast zakres działania bardzo szeroki. Wprawdzie było Pań zrazu tylko 15, ale gorliwość wynagradzała szczupłą liczbę członków. We wrześniu 1853 r. O. Generał Etienne, bawiąc w Poznaniu, przewodniczył na jednem z zebrań Pań Miłosierdzia i piękną przemową podniósł już i tak wysoki nastrój ich dusz.

Towarzystwo zajęło się zaraz ochronką parafii św. Marcina, oddając ją pod kierownictwo Siostry Miłosierdzia, dochodzącej z głównego domu do najętego lokalu. Jeszcze w tym samym roku wynajęto inną salę, gdzie druga Siostra zaczęła starsze dziewczęta wprawiać do ręcznych robót; wreszcie, kiedy Panie poprosiły o trzecią jeszcze Siostrę do odwiedzania chorych i utrzymywania magazynu konferencyi, zakupiła Siostra Miłosierdzia, Seweryna Morawska, kamienicę przy ulicy św. Piotra i tak powstał parafialny „Dom Miłosierdzia" pod opieką św. Józefa. Dom ten odtąd wiąże się ściśle z działalnością Towarzystwa Pań Miłosierdzia.

Do składu Towarzystwa należał X. Kamocki, Misyonarz, jako przełożony duchowny, nadto prezydentka, wiceprezydentka, Siostra Miłosierdzia, mianowicie każdorazowa przełożona Domu św. Józefa, kasyerka, wreszcie dopełniały liczby Panie odwiedzające i Panie, składające jałmużnę. Przełożony duchowny mianował urzędniczki, wyznaczał sesye generalne i na nich przewodniczył, odprawiał w kaplicy zakładowej św. Józefa Msze św. w dni dla Towarzystwa uroczyste.

Prezydentka przyjmowała nowych członków i znosiła się z Przełożonym w sprawach Towarzystwa. Siostra Przełożona Domu św. Józefa miała wyznaczać ubogich potrzebujących opieki Towarzystwa, zakupywać dla nich zapasy i rozdzielać za okazaniem kwitów. Panie, składające ofiarę, zobowiązywały się do jałmużny, której *minimum* wynosiło 15 marek rocznie. Panie czynne albo same, albo też, co najczęściej bywało, w towarzystwie Sióstr Miłosierdzia odwiedzały biednych.

Udzielanie jałmużny ubogim w ich własnych mieszkaniach jest najszlachetniejszą myślą konferencyi św. Wincentego a Paulo, myślą, opartą na psychologii nędzarzy. Ilekroć biedak zadzwoni do domu bogacza, czuje się dziwnie upokorzonym wobec przepychu i wykwintu a przynajmniej wygody życia, jaką tam spotyka; łatwo stąd budzi się w jego sercu uczucie zazdrości nawet wtenczas, kiedy miłosierna ręka poda mu przyjaźnie upragnione wsparcie; jeżeli zaś biedak musi odejść z niczem, rodzi się w jego duszy złowroga nienawiść do majętnych. Niebezpieczeństwo to wymija Towarzystwo, odwiedzając biednych w ich własnych mieszkaniach. Nędzarz nie czuje się wtedy upokorzonym, lecz podbitym przez ten dowód miłości chrześcijańskiej, kreśli szczerze obraz swej nędzy, a co ważniejsza, otwiera dobroczyńcy swoją duszę na oścież. Dla drugiej strony jest to jedyny sposób poznania zarówno nędzy materyalnej jak i moralnej w całej nagości.

To też Panie Miłosierdzia wspólnie ze Siostrami oddawały biednym rocznie kilka tysięcy wizyt. Otóż nawet w wie-

rzącym i pobożnym Poznaniu znalazły się staruszki, co to od pierwszej Komunii św. nie przystąpiły do Sakramentu Pokuty, w niejednym domu były kilkoletnie dzieci nieochrzczone, kryły się dzikie małżeństwa. Jedna z Sióstr z Domu św. Józefa zastała w pewnem mieszkaniu ojca pijaka, który stracił wcześnie żonę; dwoje jego wychudłych dzieci leżało na brudnem łóżku w towarzystwie robactwa. Ojciec dbał o swoje potomstwo o tyle, że nie pozwalał mu umrzeć z głodu, ale na tem poprzestawał: dzieci nie umiały ani chodzić ani mówić.

Bardzo często miało Towarzystwo współcześnie 100 rodzin na opiece, dostarczając im żywności, opłacając mieszkanie, starając się o zajęcie. Dochody czerpano ze składek na zebraniach generalnych, z ofiar Pań, składających roczną jałmużnę, z kwartalnej kwesty po domach, urządzano wreszcie zabawy, teatry amatorskie, lub wykłady naukowo-popularne, w których gorliwy, czynny udział brał przedewszystkiem X. J. Koźmian.

Były chwile, które zarówno od Pań jak i od Sióstr Miłosierdzia wymagały ofiar niezwykłych. Rok n. p. 1855 był dla Poznania rokiem niedoli. Nasamprzód na wiosnę nawiedziła miasto wielka powódź, niebawem pojawiła się cholera, zaglądając najczęściej jak zwykle do domów nędzarzy; niejedna rodzina została bez ojca i chleba. Konferencye męskie i żeńskie św. Wincentego, szły wtedy jakby w zawody ze Siostrami Miłosierdzia w usłudze dla biednych i chorych: roznoszono żywność po zalanych powodzią dzielnicach, odwiedzano rekonwalescentów, brano udział w pogrzebach, sieroty po zmarłych umieszczano w Domu świętego Józefa lub w innych zakładach.

Towarzystwo Pań Miłosierdzia rozwijało się dosyć pomyślnie aż do r. 1863, w którym X. Kamocki musiał opuścić Poznań; brak przewodnika duchownego dał się też zaraz odczuć zanikiem ofiarności; w tym roku zanotowano w sprawozdaniu rocznem 3.000 marek deficytu. Dopiero w listopadzie 1863 r. objął kierownictwo znany organizator dzieł do-

broczynnych w Poznaniu, X. Zenkteller i ożywił natychmiast, działalność Towarzystwa, wybrano też nowy zarząd.

Od ofiar i gorliwości Pań Miłosierdzia zależało *plus* lub *minus* troski, spadającej na barki Sióstr u św. Józefa, gdzie się znajdowała ochronka dla dzieci, szwalnia i zakład dla sierót. Do ochrony uczęszczało stale od 100 do 200 dzieci; w szwalni 60 dziewcząt wprawiało się do ręcznych robót, otrzymywało naukę czytania i pisania, a Towarzystwo męskie św. Wincentego a Paulo dostarczało im książek do budującej lektury. Zręczność, biegłość i sumienność w wykonaniu sprawiały, że szwalni nigdy nie brakło zamówień tak, iż ta część zakładu nie tylko się sama utrzymywała, ale zostawała jeszcze pewna nadwyżka dochodów, którą rozdzielano między pilne pracownice. Ochronka i szwalnia mogły zawsze liczyć na wsparcie konferencyi Pań, natomiast utrzymanie i wykształcenie 40 sierót zakładu spoczywało wyłącznie na barkach Sióstr.

W r. 1859 zamianowano Przełożoną Domu Miłosierdzia S. Irenę Łuszczewską, która doń wniosła złote wiano chrześcijańskiego współczucia z nędzą; dotąd jeszcze czcigodna Jubilatka nie straciła młodzieńczego zapału dla wszystkiego, co się odnosi do pracy nad ubogimi. W roku 1868 zbudowała osobny dom dla nieuleczalnych niewiast. Kiedy zaś w r. 1876 z rozporządzenia władzy zamknięto zakład dla sierót, ofiarowała opróżniony przez to lokal „Towarzystwu opieki szpitalnej dla dzieci", zawiązanemu za inicyatywą Dra Zielewicza. Urządzenie szpitala i dalszą jego administracyę oddało Towarzystwo całkiem Siostrom Miłosierdzia. Zrazu urządzono 12 łóżek, w r. 1880 dodano 18, wreszcie 1883 r. doszła ich liczba do 50. Przy szpitalu otwarto poliklinikę dla dzieci przychodnich.

Jednorazowe wsparcia ze strony miasta i ofiary publiczności nie mogły zapewnić szpitalowi bezpiecznej egzystencyi. To też zwrócono się do sejmików powiatowych z prośbą o coroczną subwencyę, przyrzekając ze swej strony przyjęcie dzieci, przez powiaty nadsyłanych. W roku 1885 przy-

chylił się do tej prośby tylko jeden powiat, ale w następnym już 14 powiatów przesłało zapomogę, obecnie zaś 32 powiaty wspierają szpital rokrocznie kwotą od 30 do 300 marek. Wzrost stałych dochodów umożliwił budowę nowych łazienek, odpowiadających potrzebom szpitala i polikliniki.

Cyfry najlepiej nam określą sumę pracy około chorej dziatwy w „Domu Miłosierdzia" św. Józefa. W przeciągu 27-letniego istnienia szpitala leczono w klinice 11.298 dzieci, w poliklinice 112.173, wydano 264.490 kąpieli leczniczych.

W szpitalu zajętych jest stale 5 lekarzy, z których trzej pracują całkiem bezinteresownie, choć im te zajęcia z biegiem lat coraz więcej czasu pochłaniają.

W r. 1904 leczono w szpitalu 508 dzieci, a w poliklinice udzielono pomocy lekarskiej 5.785 małym pacyentom.

Do kuratoryum szpitala dziecięcego należą obecnie: X. prałat Dr. Lewicki oraz posłowie Jerzykiewicz i Mizerski, administracya zaś spoczywa nadal w rękach Sióstr Miłosierdzia.

Wydatna praca w zakładzie zyskała sobie powszechne uznanie obywateli, zwłaszcza poznańskich, stąd nadzieja, że się powiedzie zamiar budowy nowego szpitala.

X. Konstanty Michalski.

KRONIKA.

Chiny. — Następcą ś. p. X. biskupa Faviera na wikaryacie apostolskim Pekinu został Mgr. Stanisław Jarlin. Nowy wikaryusz apostolski urodził się 1856 roku w Cette, gdzie jego rodzina żyła w skromnych warunkach. Pierwsze wykształcenie otrzymał pod kierownictwem Braci szkół chrześcijańskich, wstąpił potem do wielkiej firmy kupieckiej i zyskał sobie tak dalece względy i serce jej szefa, że go chciał przypuścić do udziału w przedsiębiorstwie i przez to zapewnić świetne stanowisko. W duszy 24-letniego młodzieńca odezwał się jednak głos, który go doprowadził do seminaryum w Saint-Pons. Dla ukończenia studyów wstąpił w r. 1884 do Zgromadzenia XX. Misyonarzy w Paryżu, skąd za kilka lat wyjechał do Chin, aby tam objąć stanowisko prowincyonalnego kierownika misyi. W końcu został koadjutorem Mgr. Faviera i razem z nim otrzymał Krzyż Legii honorowej po obronie Petangu w r. 1900.

Nowy wikaryusz apostolski jest pełen dobrej myśli na przyszłość; w liście do naszego Najczcigodniejszego X. Wizytatora z dnia 19 maja, prosząc o dziełka pobożne dla jeńców polskich w Japonii, dodaje kilka zdań, z których przebija nadzieja, że z pomocą Bożą praca misyonarska wyda piękne owoce: „Pan Bóg, pisze X. Biskup, wynagradza nam obficie klęski, które nas dotknęły w r. 1900. Liczba nawróceń jest niezwykłą, w ubiegłym roku ochrzciliśmy 12000 dorosłych, spodziewam się zaś, że i w roku bieżącym żniwo będzie niemniej obfite“.

Persya. — List siostry Polki.

Tauris, 2 kwietnia 1905. Miałyśmy tu cholerę, która nawet jedną z naszych Sióstr wyprowadziła z tego biednego świata do niebieskiej ojczyzny. Druga siostra nasza jest chora od 6-ciu miesięcy. Siostra Przełożona też przez 4 tygodnie przeleżała w łóżku, teraz zaczyna już przychodzić do siebie, ale zato moja towarzyszka zasłabła. Gdy się jej lepiej zrobiło, kolej przyszła na mnie, wszakże już mi trochę lepiej i może się jakoś wygrzebię. Pan Jezus nie znalazł dostatecznej ofiary naszej z kraju i z rodziny, zażądał od nas jeszcze innych, poddajemy się chętnie tym próbom, myśląc, że to Jego najświętsza wola i że On potrafi nas pocieszyć po wypróbowaniu chwilowem.

Tutaj kraj jest bardzo biedny, zwyczaje bardzo dziwne. Mamy tu siostry armeńskie, także i mały pensyonat dla bogatszych, ale bardzo mały, bo nam miejsca braknie. Jedna siostra uczy się armeńskiego języka, my zaś tureckiego, bo ten nam bardzo potrzebny, a później ja mam się uczyć po rosyjsku. Wszystko to nam przysparza pracy a jest nas 4 siostry, od czasu zaś, gdy jedna chora, we 3 staramy się podołać wszystkiemu. Mamy też tutaj 4 XX. Misyonarzy i jednego księdza armeńskiego. którzy nas budują swemi heroicznemi cnotami, są to prawdziwi Misyonarze: tacy, jakich chciał mieć św. Wincenty. Przedewszystkiem podziwiamy ich zaparcie się samych siebie i prawdziwie bohaterskie ubóstwo. Serce się kraje na widok spokoju i wesołości, z jaką znoszą brak najpotrzebniejszych rzeczy i niesprawiedliwość od tych, dla których się poświęcają. Misyonarze mają tutaj 15 seminarzystów, ale ubóstwo tam takie, że prawie dość chleba nie mają. Starają się, jak mogą, to seminaryum utrzymać, bo przecie wyszłoby z niego wkrótce 15 księży katolickich, ale nie wiem, czy będą mogli dojść do końca z powodu braku funduszów. Mają też szkoły, ale te są uczęszczane przez ubogich i niewiele im przynoszą korzyści materyalnych. Kościoła nie mają tylko małą kapliczkę, tak małą i tak biedną, że nawet niepodobna do kaplicy. Mówił nam jeden

z XX. Misyonarzy, że już pisał na wszystkie strony, ale na wszystkie jego listy odpowiedziało niestety głuche milczenie. Jeżeli XX. Misyonarze nie uzyskają żadnej pomocy, będą musieli wszystko opuścić. To byłoby wielkiem nieszczęściem dla całego tego biednego kraju, dla młodzieży, którą oni tak poczciwie wychowują a także i dla nas, które tu w zupełnie obcym kraju szczęśliwe jesteśmy, że mamy pomoc duchowną od synów św. Wincentego. *Siostra J. S.*

Rzym. — Objęcie kolegium maronickiego w Rzymie przez naszych Konfratrów.

Stolica święta wyznaczyła naszemu Zgromadzeniu niedawno pracę dla narodu, posiadającego w swej przeszłości religijnej fakta, które pięknością swoją zbliżają się do dziejów Irlandyi i naszych Unitów. Dla Maronitów utrzymywaliśmy dotąd 4 wyższe szkoły w Edenie, Anturze, Trypolisie i Bejrucie, obecnie zyskaliśmy posterunek daleko ważniejszy — zarząd seminaryum maronickiego w Rzymie. Cały naród Maronitów, katolicki bez wyjątku, liczący koło 280000 głów, jest zorganizowany w 8 biskupstw, na czele których stoi patryarcha, rezydujący St. Maria z Kanobin. Kler świecki, w liczbie 500 pracuje w 300 parafiach; obok tego żyje w klasztorze 600 księży i 1000 braci zakonnych. Nic też dziwnego, że nawet proboszczowie trudnią się uprawą roli dla braku dochodów. Kler maronicki kształci się w kilku dyecezyalnych i 3 generalnych kolegiach, w których wykłada się język arabski, syryjski, filozofię, teologię dogmatyczną, moralną i pastoralną. W Rzymie jest czwarte generalne kolegium, którego zarząd objęli właśnie nasi Konfratrzy. Historyę jego podaje nam list X. rektora Alouan, umieszczony w francuskich „Annales“ z marca 1905 r.; podajemy go w tłómaczeniu.

Rzym, 15 grudnia 1904 r.

„Chcę w krótkich słowach naszkicować notatkę historyczną o papieskiem seminaryum maronickiem, którego zarząd

objęli XX. Zgromadzenia Misyi na życzenie Ojca św. i Propagandy a za zgodą patryarchy maronickiego.

I. Dawne kolegium.

Dawne kolegium dla wychowania kleru maronickiego założył w Rzymie papież Grzegorz XIII., wydając w tym celu bullę Humanam 27 czerwca 1584 r. Zakład ten wznosił się obok starego kościoła św. Jana de la Ficoccia, w którym znajduje się grób sławnego Assemaniego, byłego ucznia tego kolegium. Kierownictwo objęli OO. Jezuici, którzy na studya wysyłali alumnów do Collegium Romanum. Na drzwiach kościelnych pod obrazem Najśw. Panny znajdował się w syryjskim i łacińskim języku napis: Veni de Libano sponsa mea et coronaberis. Obraz ten przeniesiono do nowego kolegium i umieszczono w głębi kurytarza nowego budynku, naprzeciw wielkich drzwi wchodowych. W miarę rozwoju otrzymywało maronickie kolegium zasiłki od papieża Sykstusa V., Pawła V., Grzegorza XV. i Urbana VIII. Pierwszym protektorem kolegium był kardynał Antoni Caraffa, który kazał odnowić stary kościół a cały swój majątek zapisał kolegium.

Z pomiędzy licznych uczniów, którzy się wykształcili w tym zakładzie, niektórzy wybili się ponad zwykły poziom. W roku 1685, w setną rocznicę założenia kolegium, ogłoszono spis jego uczniów, z pośród których kilku zajęło naczelne stanowisko w swym narodzie.

Kolegium zniesiono w r. 1799, a jego dobra stały się łupem zwycięskich Francuzów tak, iż nawet po przywróceniu rządów papieskich nie zdołało się kolegium podnieść z ruiny. Resztki dochodów przeznaczono na wychowanie kilku alumnów w Propagandzie, budynki zaś sprzedano r. 1864 dla kolegium polskiego.

II. Nowe kolegium.

Nieodżałowanej pamięci papież Leon XIII., który podczas swego brzemiennego w czyny pontyfikatu wskrzesił

w Rzymie kilka wschodnich kolegiów, polecił Mgr. Hoyek, wikaryuszowi apostolskiemu i arcybiskupowi maronickiemu Arki, ażeby się zajął odbudowaniem kolegium maronickiego. Zacny ten książę Kościoła spełnił tę misyę ku wielkiemu zadowoleniu Stolicy Apostolskiej. Za resztę funduszów dawnego kolegium oraz 100000 franków, uzbieranych na Libanie i we Francyi, otworzył przy ulicy di Porta Pinciana (32) nowe kolegium, zatwierdzone przez brewe Sapientia olim z 30 listopada 1891 r. Alumni chodzą na kursa Propagandy. Zrazu było ich tylko 8, ale liczba wzrosła w dwójnasób i zachodziła potrzeba większego lokalu, stąd papież Leon XIII. i Propaganda rozpoczęli budowę obszerniejszego kolegium. Na piętrach domu znajduje się 55 pokoi, na parterze zaś mieści się kaplica, obszerna sala przyjęć, refektarz i 9 innych sal; w suterenach wreszcie urządzono spiżarnię, kuchnię etc.

Kolegium ma doskonałe położenie: jest równocześnie mieszkaniem miejskiem i wiejskiem; od strony bowiem bramy Pinciana jest sielski widok, do boku zaś kolegium przytykają wille Médicis, Borghese a opodal — Pincio. Na kursa Propagandy mają alumni zaledwie kilka kroków. Powinnoby ich być 16 tj. po 2 z każdej dyecezyi, faktycznie jest ich tylko 12, z których dwóch jest księżmi, dwóch dyakonami; jedni słuchają teologii, drudzy filozofii, a tylko trzech retoryki. W domu udzielamy im lekcyi teologii pastoralnej, śpiewu, liturgii maronickiej, języka francuskiego. Każdorazowy prefekt Propagandy jest protektorem zakładu, a jej sekretarz prezydującym. Pierwszym rektorem kolegium był proboszcz Gabryel Issobarac z Reyfunu, wychowanek Propagandy i dawny superyor seminaryum patryarchalnego w Reyfunie. Stanowisko to zajmował od r. 1893—1897, kiedy Mgr. Hoyek na wezwanie papieża Leona XIII. ujął w swe ręce kolegium; ale już pod koniec 1898 roku obrano Mgr. Hoyeka patryarchą, a jego miejsce zajął proboszcz Eliasz Szedid, który wspierał Mgr. w jego urzędzie i którego Mgr. wyświęcił w kolegium na księdza wkrótce po swej nominacyi na patryarchat. Pro-

boszcz Szedid był przez pewien czas uczniem w Anturze. Rządził kolegium aż do października 1904 r.

Papież Pius X. wezwał przez prefekta Propagandy J. Em. Kardynała Gottiego XX. Misyonarzy do objęcia rządów kolegium. Decyzya Propagandy jest z 4 lipca 1904 r. Papież zaś potwierdził ją 10 tegoż miesiąca. Kardynał wysłał wtedy list do Ojca Generała, w którym prosił o dwóch Misyonarzy: jednego na rektora, a drugiego na dyrektora spiritualnego. Dwudziestego pierwszego października dwóch księży Zgromadzenia objęło kierownictwo zakładu. Mgr. Savelli, sekretarz Propagandy dla obrządków wschodnich, wprowadził konfratrów do zakładu, rektora już poprzednio zamianowała Propaganda osobnym dekretem.

To są najważniejsze szczegóły o dawnem i o nowem kolegium. W zarządzie trzymamy się mniej więcej normy, panującej w naszych seminaryach francuskich, prócz pewnych modyfikacyi potrzebnych ze względu na okoliczności i specyalny cel. Na wakacye dla alumnów ofiarował łaskawie Najjaśniejszy Cesarz Austryacki swoją wspaniałą willę d'Este w Tivoli, którą aż do śmierci zajmował kardynał Hohenlohe".

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków. — Kleparz. — Ubiegłego kwartalu objął dom Kleparski redakcyę „Miłosierdzia chrześcijańskiego", organu Konferencyi św. Wincentego a Paulo. Jeżeli tyle się pracuje i pisze celem podniesienia katolickiej akcyi społecznej, to niemniej energicznej pracy wymaga katolicka akcya dobroczynna. Katolicki ruch społeczny nabrał w Galicyi większej siły pod tchnieniem X. Arcybiskupa Bilczewskiego. We Lwowie powstał Związek katolicko-społeczny, który już liczy blisko 1000 członków i wydaje osobny organ pod redakcyą X. Wesolińskiego; nawet w okrzyczanym z zastygłego konserwatyzmu Krakowie powstał w bieżącym roku organ związków katolickich p. t. „Postęp". Wielkopolska wydaje obok „Robotnika", bardzo poważne i bardzo gruntowne pismo

„Ruch chrześcijańsko-społeczny“. Nie brak nam więc było w ostatnim czasie wyrazu ruchu społecznego w duchu katolickim, nie mieliśmy jednak organu katolickiej akcyi dobroczynnej, w której bezsprzecznie Konferencye św. Wincentego naczelne zajmują miejsce. Francuskie i niemieckie Konferencye już od 57 lat wydają swój „*Bulletin de la société de St. Vincent de Paul*“ i „*Jahrbücher des Vereines vom hl. Vincenz von Paul*“. Poznańskie Konferencye usiłowały już w latach 1860—1861 wydawać swój organ, ale przedsięwzięcie upadło. Myśl ta odżyła w Wyższej Radzie Konferencyi w Krakowie, która zwróciła się do domu kleparskiego z prośbą objęcia redakcyi. Ze względu na ideę Towarzystwa pokrewną celowi obydwóch Rodzin św. Wincentego i chęć łączności, którą z naszem Zgromadzeniem pragną utrzymać Konferencye, przyjęliśmy redakcyę i administracyę. Domy nasze poprą niezawodnie to pokrewne nam dzieło przynajmniej prenumeratą.

W ostatnim roczniku mogliśmy zanotować 30 rekolekcyi, udzielonych przez konfratrów naszego domu, w ubiegłym kwartale daliśmy ich tylko 5; z tych jedne dla Sióstr Miłosierdzia w krakowskim domu centralnym, drugie w Poznaniu dla Sióstr prowincyi chełmińskiej; jeden z konfratrów przewodniczył 3-dniowym ćwiczeniom duchownym „Dzieci Maryi“ w Poznaniu, których się zgromadziło do 500, wreszcie dali nasi księża rekolekcye w Lubawie chorym Siostrom i w Krakowie dla dzieci szkoły im. św. Stanisława Kostki.

Misye dawali konfratrzy naszego domu ostatniego kwartału w Krzeszowie, Niedźwiedziu, Wadowicach Górnych i Porębie-Spytkowicach, dwóch zaś towarzyszyło Najprzew. X. biskupowi Nowakowi na wizytacyach 8 miejscowości.

Stradom. — Z Ameryki otrzymaliśmy wiadomość o śmierci ukochanego brata Grzegorza, który niedawno temu opuścił nasz dom, by pracować dla P. Boga za morzem.

Ś. p. brat Grzegorz Feliks, ur. 8 sierpnia 1865 we wsi Daniec koło Opola na Górnym Śląsku, wstąpił do Zgromadzenia w lecie r. 1892 w Krakowie na Kleparzu.

Z domu rodzicielskiego wyniósł żywą wiarę i rzewną pobożność, które mu zawsze towarzyszyły wiernie w licznych podróżach, podejmowanych dla wykształcenia się w rzemiośle. Wielkie zamiłowanie do cichej pracy nie przeszkadzało mu w oddawaniu się całem sercem praktykom religijnym. Ten szczególniejszy pociąg do Boga zawiódł go do nas. Przyjęty do Zgromadzenia, zaczął seminaryum 28 listopada 1892 i przez te 2 lata próby rozwinął pięknie dobre przymioty swej prostej i pobożnej duszy, w wielkim stopniu przyswoił sobie cnoty św. powołania i przywiązawszy się szczerze do niego, złożył śluby śś. w dniu Niepokalanej Panienki 8 grudnia 1894, czyniąc z siebie zupełną ofiarę Panu naszemu. Odtąd, posłuszny jak dziecko, gotów był na każde skinienie przełożonych. Przeznaczony do kuchni, swoim zwyczajem całą duszę włożył w swój urząd. Szczególne zdolności kucharskie i wrodzona chęć do pracy sprawiły, że się dość wcześnie wykształcił w swym fachu i przez długie lata z najlepszą wolą krzepił nam siły zdrową strawą, pragnąc zawsze dogodzić wszystkim, starając się szczególnie odgadnąć życzenia słabszych. Umiał zawsze pogodzić oszczędność z chojnością, ubóstwo z wygodą swoich braci.

Urząd z natury ciężki i żmudny pełnił zawsze z tą samą ochotą bez narzekania, bez zniechęcenia, bo mu P. Jezus, z którym był zawsze w skupieniu zjednoczony, przy pracy szeptał pociechę do serca: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego i posiądźcie zgotowane wam Królestwo od założenia świata, albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem, a daliście mi pić, — zaprawdę powiadam wam, dopókiście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili". W świetle tej wielkiej wiary, która go od młodych lat cechowała, widział jasno swoje szczęście na posłudze braci, i mniejsza mu było o szczebel, byle na tej samej drabinie do nieba. I Marta szczęśliwa, że może usługiwać Panu, a ś. p. brat Grzegorz rozumiał dalszą wymówkę Pana i nigdy mu na myśl nie przyszło, by zajrzeć posługi duchownej kapłanom, albo nauki klerykom, owszem cieszył się, że im daje

jak Marta Maryi, przez swe zabiegi możność spokojnego oddawania się na posługę Panu, który nam wszystkim za rozmaite prace jednaką gotuje zapłatę. A że braciom naszym, pełniącym urząd Marty i Maryi lepsza cząstka nie jest odjęta, owszem na ćwiczenia duchowne kładzie im reguła szczególny nacisk, więc ś. p. brat Grzegorz jako dobry brat Zgromadzenia dawał sobie folgę w rzewnej pobożności i budował nas zawsze punktualnością i akuratnością w uczęszczaniu na ćwiczenia wspólne. Do nich łączył, jak reguła radzi, łzy i modlitwy prywatne, by swoją uświęcić pracę i wyprosić łaskę na pożytek pracy drugich. A w sercu żywił stale nadzieję, że mu będzie wolno poświęcić się pracy misyjnej. Pracował najpierw w r. 1896 w domu na Nowej Wsi, potem do r. 1901 w Krakowie na Kleparzu, a od jesieni 1901 do lata 1904 na Stradomiu, wszędzie koło naszej drogiej młodzieży, którą szczególniej kochał, tusząc sobie, że przez nią przyczyni się wiele do chwały Bożej i rozwoju Zgromadzenia. Wreszcie dał mu P. Bóg tę łaskę, że mógł wyjechać na misyę zamorską. Jeszcze do ostatniej chwili służył klerykom swą pracą w Krzeszowicach i prawie od rondla siadał na pociąg ze żalem żegnany. Pojechał do nowo założonego domu w New Haven w Ameryce Północnej, by pomagać naszym konfratrom w swoim zakresie przy pracy nad naszymi rodakami na obczyźnie. Ale widać ofiara jego była spełniona, dojrzał dla nieba i pojechał tylko po odłożony mu za morzami wieniec. Jak niegdyś w Krakowie obwiązywał w skrytości chore nogi, a o 4ej padał na nie przed Panem, szedł bez skargi na rozmyślanie, stał bez narzekania nad garnkami, tak teraz cierpiał, nie mówiąc nic i niósł chorobę śmiertelną za morza. W pół roku po przyjeździe do Ameryki, położył się na odpoczynek, tym razem bez końca. Odprawił sobie rekolekcye. Załatwiwszy rachunki z Panem, któremu wiernie służył, zapadł na chorobę umysłową, która niedługo przerwała pasmo dni jego. Miał wrócić do nas, tymczasem w nagrodę za ofiarę serca umarł na okręcie. I dziwna rzecz, ten, który z taką dobrą wolą karmił

nas długie lata, przed śmiercią nie mógł przyjmować pokarmu, jakby już czekał na inny pokarm, który mu P. Jezus obiecał w 4. błogosławieństwie: „błogosławieni, którzy łakną, albowiem oni będą nasyceni“, — błogosławieństwie, o którem powiedział psalmista: „nasyceni będą, gdy im się okaże chwała Twoja“. Stało się to 31 kwietnia 1905. Dowiedziawszy się o jego śmierci, urządziliśmy na Stradomiu, (skąd ruszył do Ameryki), żałobne nabożeństwo za jego duszę. Klerycy pięknie i rzewnie mu zaśpiewali, a wszyscy z głębi duszy się za niego pomodlili, chowając zawsze w miłej pamięci ten piękny wzór dobrego brata Zgromadzenia.

Parana. — Z Parany dochodzą nas pocieszające wiadomości o pracach naszych konfratrów. Przytaczamy odnośne ustępy z „Gazety Polskiej“ w Brazylii:

Silna twierdza. — Na Tomas Koelio, przy kościele św. Michała, odbyły się misye, które trwały od 20 do 31 marca. Duży dzwon zwoływał wiernych na modlitwę. Ten nasz kościół to potężna twierdza!

Wodzowie jej od wczesnego ranka do 10 wieczorem słuchali spowiedzi. Dni całe upływały na żarliwem nabożeństwie, słyszałeś hymny i nauki przepiękne a pobożne, które płynęły jedna za drugą jak lekkie a równe fale na morzu, ale serdeczne, ciche dziękczynne... Twierdza to, ten przybytek pański na górze, w samym środku, w sercu kolonii! Na froncie nowa dzwonnica, zbudowana w kształt ołtarza czy tarczy — a w niej trzy dzwony — które swe dźwięki posyłając do serc wiernych, Chrystusowych żołnierzy — czynią ich czujnymi przed wrogiem — występkiem. Po drugiej stronie zatknięto sztandar Polski — Krzyż wielki z pięknie obrobionego drzewa ambujowego. Ten sztandar nasz, od dołu do góry otoczony wieńcem z kwiecia, a wzniesiony „rękami czarnemi od pługa“, jako widomy znak, jako godło, pod którem lud polski pragnie żyć, pracować, walczyć w potrzebie i umierać!

Do koła przybyło nowe, ładne ogrodzenie z muru i żelaza — niby w twierdzy, boć już wyraźnie to twierdza — wszyscy tu swoi, jedna myśl, jedno tchnienie i jedna krew polska!

Dzień ostatni był najuroczystszym. Świtało — biegli starzy i młodzi, konno i piechotą, jak kto mógł, lub jak mu było dogodniej. A i wozów nie brakło, te toczyły się poważnie i turkotały, a na nich pełno dzieciaków; uśmiechnięte to, wesołe, wyglądały jak kwiaty na łąkach naszych a wszystko w szatach odświętnych. Tu ostatni akt uroczystości godów sprawionych duszom naszym. Uciszyło się... z piersi kapłana — misyonarza polskiego, wyszedł głos wzywający do zgody, do miłości bratniej, do jedności! Jedni przepraszali się w kościele, drudzy poza kościołem a inni jeszcze dalej. Trzeba było być i przyjrzeć się z boku, jakie ten nasz lud kochany ma piękne przymioty i wzniosłe tradycye. Przystawali jeden z drugim, uchylali kapeluszy i coś szeptali, jakby wspólną modlitwę zwracali do Pana nad Pany i świadka szczerości ich słów.

Dzień miał się ku wieczorowi, gdy nastąpiło podniesienie krzyża. Kilkadziesiąt spracowanych dłoni uchwyciło to Godło zbawienia. Napróżno komitetowi wzywali aby się usunięto — z obawy wypadku, nikt nie drgnął! Z pewnością jedna myśl wszystkich poruszała: od Krzyża się nie oddalę... raczej przy nim legnę. Gdy się rozchodzono — długi czas na krzyż ten oglądano się jakby prosząc o lepszą dolę, a w mojem sercu ta chwila podniosła, do śmierci zostanie żywą, w pamięci nigdy nie zatartą.

Będąc w Warszawie na wystawie sztuk pięknych, widziałem cudny obraz, przedstawiający na kazalnicy kapłana mówiącego kazanie do licznej rzeszy ludowej. Jego twarz była pełna prawdy, w oczach ogień miłości i zapału, pochylone piersi, jakby wszystkich chciał objąć i drogę do niebios otworzyć, boć on za te masy tak gorąco błagał przebaczenia, — ten obraz stanął mi żywo w pamięci, gdym patrzył

podczas misyi na naszych polskich księży misyonarzy i żałowałem, iż wśród nas nie było artysty-malarza.

Z Tomas Koelio pod datą 11 b. m. donoszą nam, że po ukończeniu pracy misyjnej przy kościele Św. Michała, nie odpoczywali głosiciele słowa Bożego W. XX. Misyonarze, lecz zaraz w niedzielę zapowiedzieli znowu prace misyjne na drugiej połowie kolonii przy kościele M. B. Bolesnej, mające się rozpocząć 3 b. m. Niestety wypadła nieprzewidziana podróż W. X. Superyorowi, pozostał sam tylko X. Chylaszek. Niezmordowany ten pracownik około zbawienia dusz naszych, z nadmiernem wytężeniem sił swoich, miewał po dwa kazania i katechizacyę codzień, a co zbyło czasu, spowiadał do późnego wieczora. Już od samego rana pierwszego dnia przepełniony był kościół wiernymi, do późnego wieczora słuchającymi jego wzruszających kazań, któremi tak zagrzał serca nasze, i wzbudził do żalu serdecznego za grzechy, że lud opuścił pracę i spieszył na nauki. (Przypominają mi się słowa Ewangelii św.: wszystko opuściwszy, — szli za nim). Trwały te prace przez dni cztery, a najwspanialszym był piątek, w którym miały się zakończyć postawieniem krzyża na pamiątkę. Był to dzień wzruszający każdego obecnego, niektórym już głowy posiwiały i nie pamiętają podobnych uroczystości. O godz. 10 odbyła się msza uroczysta, w której wszyscy wspólnie przystąpiliśmy do stołu pańskiego, trochę przerwy — a o 3 miało nastąpić postawienie krzyża. Wzruszający to był widok, bo oto przeszło 30 mężczyzn bierze drzewo ciężkie krzyżowe, za nimi idą W. XX. Misyonarze, a dalej kilkusetny tłum ludu z pieśnią na ustach: Krzyżu święty. Potem nastąpiło kazanie ostatnie, pożegnalne, a następnie poświęcenie pamiątek misyjnych, kto co miał: krzyżyki, obrazy i t. d. Radośnie wracał każdy, pokrzepiony na duchu, do swego domu. Oby Bóg miłosierny błogosławić raczył ich prace, żeby wydały owoc stokrotny — my z naszej strony serdecznie dziękujemy naszym duszpasterzom za prace i trudy ich dla nas podjęte.

Z Antonio Kandido. „Słowa wygłoszone przez Misyonarza naszego W. O. Dylę pozostały w sercach naszych i sprawiły, że choć Jego tu wśród nas niema, jednak myśl, którą nam podał, w czyn się zmieniła. 20 parę rodzin polskich tak gorliwie wzięły się do pracy, że kościołek zbudowaliśmy własny. 12 metrów długi, 8 szeroki i 4 wysoki — pomieści nas wszystkich i dla dalszych gości miejsca jeszcze wystarczy. Dzwonek do wieżyczki już mamy a do wielkiego ołtarza olejny obraz N. P. Częstochowskiej, już obstalowany w Europie, przez p. G. Grolmana, który go nam w ofierze poświęca i za co mu serdecznie przesyłamy „Bóg zapłać“.

Siostry Miłosierdzia. Galicya — Śląsk. Dwa ostatnie ubiegłe lata przyniosły ze sobą dla Galicyi, Królestwa i Śląska wielkie klęski elementarne: czego w jednym roku nie dokonała powódź, tego w następnym dopełniła straszna posucha; a Galicyę w dodatku dotknęły liczne pożary. Rozszerzyło się więc pole pracy dla Sióstr Miłosierdzia, lecz nie na tem koniec. Jeszcze w ostatnich miesiącach ubiegłego roku zaczęły chodzić wieści o licznych wypadkach tyfusu i o nieznanej dotychczas a raczej już zapomnianej chorobie zapalenia osłon mózgowych. Niektóre szpitale Sióstr Miłosierdzia zapełniły się nieszczęśliwymi, którzy ulegli tym chorobom. Informującym w tym względzie jest list Siostry Wiśniewskiej z Turki pod Chyrowem z dnia 19 kwietnia b. r.

„Przez półtora miesiąca t. j. aż do 10 kwietnia miałyśmy bardzo wiele pracy; naraz bowiem coś jedenastu chorych leżało na tyfus plamisty; prawie wszyscy nieprzytomni, a służący do nich nieobeznany jeden tylko, więc dzień i noc któraś z nas musiała bezustannie pilnować chorych. Co drugą lub najmniej co trzecią noc musiała każda z nas czuwać, bo Siostra od chorych nie może się z epidemicznymi nawet stykać. Już nas siły opuszczały, lecz pomógł i pocieszył Pan Jezus, bo nam z 17 chorych na tyfus tylko jeden umarł.

Jedni z lekarzy za żadną cenę nie przekroczyliby progu tych sal, w których jęczą tyfusowi, drudzy zaglądają do nich

z konieczności, ale też czemprędzej dają drapaka. Nasze Siostry poczytywały sobie za szczęście, że mogły czuwać przy tych biedakach, a Siostra Leszczyńska chciała się nawet w ten sposób dostać mniejszym kosztem do nieba. Żadna z Siostr jednak nie zachorowała".

Żałobą okrył się natomiast dom Siòstr Miłosierdzia w Bytomiu, gdzie Siostra Klara Katke padła ofiarą poświęcenia, pielęgnując cierpiących na meningitis. Choroba ta srożyła się szczególniej na Górnym Śląsku; w powiecie katowickim umierało na nią do 40 osób tygodniowo, w Bytomiu od listopada z. r. do 10 maja b. r. były 452 wypadki meningitis *(cer. spin. epidemica)*, z których większa część skończyła się śmiercią.

W szpitalu Siòstr Miłosierdzia w Bytomiu leczyło się do 90 osób, dotkniętych chorobą zapalenia osłon mózgowych. Siostry odwiedzały nadto chorych w ich własnych mieszkaniach; w ten sposób nabawiła się choroby zmarła Siostra Katke.

Królestwo Polskie. Oddanie Siostrom Miłosierdzia szpitala św. Anny w Miechowie. — Z za kordonu informacye o Siostrach Miłosierdzia otrzymujemy dla znanych powodów jak zwykle tylko z czasopism. Przytaczamy tu wiadomość X. Augustynika, umieszczoną w „Przeglądzie katolickim" 6 kwietnia b. r. z powodu objęcia przez Siostry szpitala w Miechowie:

Szpital św. Anny i Siostry Miłosierdzia w Miechowie. Na przedmieściu, prowadzącem w stronę Skalbmierza, tuż przy trakcie, wpadają w oko zabudowania murowane, czysto wybielone, otoczone drewnianym parkanem, z małym ogródkiem na froncie. Jest to szpital św. Anny. Składa się z czterech pawilonów, gontem pokrytych; główny środkowy największy, a trzy mniejsze. Budowę głównego pawilonu i jednego bocznego rozpoczęto w r. 1874, a skończono w r. 1875, staraniem Rady opiekuńczej powiatowej, a funduszem, zebranym z dobrowolnych ofiar wśród okolicznych mieszkańców.

W r. 1877 stanął trzeci pawilon z ogródkiem dla umysłowo chorych niewiast, a w r. 1903 starą szopę przerobiono na czwarty pawilon dla obłąkanych mężczyzn. Do szpitala przyjmują różnych chorych (nawet takich, co przez rozpustę stracili zdrowie i wstręt do siebie wzbudzają) bez różnicy wyznania, — są tu nawet starozakonni. Obecnie chorych w szpitalu jest 80, z tych 31 umysłowo cierpiących.

Stałych funduszów szpital nie posiada. Każdy chory sam płaci za siebie, lub gmina, jeżeli chory jest biedny. Tych ostatnich jest najwięcej, a wnoszenie za nich opłaty tak jest nieregularne, że od lat dziesięciu 7.000 rubli zalega na gminach i Rada opiekuńcza ściągnąć tego nie może. Stąd też żadnych ulepszeń w szpitalu robić nie można, pomimo, że tego gwałtowna zachodzi potrzeba. Dachy są bardzo liche i leje się przez nie — studni brak, trzeba wodę zdaleka wozić. Pościel dla chorych marna, bielizny na zmianę niema — i często trzeba chorego, choć zdala przywiezionego, wrócić napowrót, skąd przyjechał, bo go niema gdzie umieścić.

Członkowie Rady opiekuńczej z prezesem na czele są bardzo przychylni dla szpitala i niezmiernie dbają o jego dobro. Przed większemi świętami rozsyłają odezwy do różnych osób, prosząc o ofiary, ale to wszystko nie wystarcza — tu trzeba, aby cały ogół więcej się tem zainteresował i spieszył z datkami, choćby niewielkimi, ale stałymi: czy to w pieniądzach, czy to w artykułach żywności, czy też w innych potrzebnych rzeczach.

Miejscowy X. proboszcz, dziekan i kanonik WJ. X. Józef Kwiatkowski, wchodząc w potrzeby szpitala, zachęcił z ambony parafian i ci zwieźli 150 korcy kartofli i 80 poduszek pierzanych, gdyż były tylko słomiane, dla chorych bardzo niewygodne, a także sprawił szafę dużą na ubranie. Podobną, choć mniejszą ofiarę w zeszłym roku złożyli parafianie z Prandocina, zachęceni przez WJ. X. proboszcza Wiadrowskiego. Nie każda parafia, choćby chciała, może sprostać parafii miechowskiej i prandowskiej, ale choć z mniejszą ofiarą pospieszyć może.

W każdym szpitalu niezmiernie ważną jest rzeczą, w czyich rękach spoczywa zarząd i dozór, kto się opiekuje chorymi i służbą. Chorzy potrzebują czułej i troskliwej opieki, z serca płynącej, a służba potrzebuje pilnego dozoru, by wśród niej nie było rozpusty i innych występków. W szpitalu nieraz trzeba leczyć ciało i duszę. Dobrze to rozumiał św. Wincenty a Paulo i dlatego założył Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia, zwanych u nas Szarytkami, naznaczając im za główny obowiązek, obok ćwiczenia się w cnotach, opatrywanie chorych i opiekowanie się biednemi dziećmi, a zwłaszcza opuszczonemi sierotami.

Jeżeli wszystkie zakony można nazwać najpiękniejszymi kwiatami, wyrosłymi na niwie Kościoła katolickiego, to tembardziej nazwa ta przystoi Siostrom Miłosierdzia.

Delikatne dziewice — pisze jeden pobożny autor — opuszczają w kwiecie wieku często najświetniejsze stosunki życia, aby swemu Boskiemu Jezusowi służyć przez pielęgnowanie nieszczęśliwych chorych i konających, przy których cały swój żywot przepędzają, żadną, choćby najwięcej odrażającą posługą nie brzydzą się. Przyjmują każdego chorego bez różnicy stanu, płci i wyznania. Nawet matka nie może czulej pielęgnować chorego dziecka, jak one swych chorych. Podnoszą i układają ostrożnie, by nie urazić miejsca bolącego, czyszczą i myją, przyrządzają lekarstwa, opatrują rany, pocieszają w cierpieniu, czuwają przy nich dniem i nocą i nie opuszczają ich aż do ostatniej godziny. Jakiż to rozrzewniający widok, gdy Siostra odmawia modlitwy z chorymi, czyta im żywoty świętych, objaśnia prawdy wiary, a przy łożu konającego klęczy i na wzór Anioła Stróża czuwa, aby chory umierał z wiarą w miłosierdzie Boskie i z nadzieją nieśmiertelnego żywota. Za tę macierzyńską troskliwość nie żądają innej nagrody, jak tylko tej, którą Pan Jezus obiecał miłosiernym: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“. Większa ich część umiera w najpiękniejszym wieku, jako ofiara miłości. Nazwiska ich pozostają dla świata nieznane, na ich grobach nie unoszą się wspaniałe pomniki,

tylko krzyż pojedyńczy, ale w owym wielkim dniu zapłaty zajaśnieją w promieniach chwały niebieskiej — wtenczas świat się o nich dowie. Żadna religia nie może wykazać takich męczenników miłości, jeden tylko Kościół katolicki jest ogrodem, w których takie rosną kwiaty.

Tym aniołom dobroci i poświęcenia oddano w zarząd szpital miechowski 15 maja 1903 r. Odtąd wszystko idzie ku lepszemu. Czystość, ład, porządek w każdym kąciku spostrzegać się daje. Doktór jest pewny, że jego zlecenia są ściśle wykonywane, chorzy mają troskliwą opiekę, a służba pilny dozór. Siostry wyżebrały dla chorych poduszki pierzane. Siostry krzątają się, by chorzy mieli więcej bielizny na zmianę. Siostry znękanych chorobą i biedą podnoszą ku Bogu, uczą zgadzać się z wolą Jego i znosić choroby w duchu pokuty! To też teraz do szpitala cisną się z całej okolicy, lecz dla braku miejsca nie wszyscy są przyjmowani. Siostry cieszą się, że mają dużo zajęcia — nieraz jeszcze więcej pragną pracować. „Jakżebyśmy były szczęśliwe, powtarzają, gdyby nam dodano z jedną Siostrę [1]) i pozwolono nam mieć ochronkę... my tak kochamy te maleństwa i lubimy zajmować się niemi! Jakkolwiek Siostry Miłosierdzia niedawno obsługują szpital, jednak zyskały sobie ogólne uznanie miejscowego X. dziekana, Rady opiekuńczej, doktora ordynującego w szpitalu [2]), okolicznego obywatelstwa i ludu — a to daje rękojmię, że wszyscy dopomogą Siostrom do zaprowadzenia koniecznych ulepszeń w szpitalu. Siostry myślą budować jeszcze jeden pawilon, w którymby mogły urządzić mieszkanie dla służby kobiecej, pralnię, kuchnię, spiżarnię i apteczkę, gdyż to wszystko mieści się w głównym pawilonie i zabiera miejsce dla chorych. Lecz przedewszystkiem Siostry w mającym się zbudować pawilonie pragną urządzić choć małą kapliczkę, gdzieby mogły odmówić

[1]) Teraz są tylko trzy Siostry: Paulina Lipińska starsza, Stanisława Domańska i Jadwiga Kirszensztejn.

[2]) Rada opiekuńcza: prezes WP. naczelnik powiatu Nowosielski. Członkowie: pp. Kleczyński, Zdziechowski, Zaporski, Popiel, Brodzki, Nawroczyński, Gogolewski. Sekretarz Masłowski i Dr. Kozieradzki.

regułą przepisane pacierze i medytacye; czerpać pokrzepienie duszy u stóp Pana Jezusa, a chorzy mogliby szukać pociechy w swoich cierpieniach. Kaplica w szpitalu jest tem, czem jest źródło na pustyni, bo stamtąd płynie życie duszy pełnym strumieniem. Szpital jest biedny i nie posiada żadnych funduszów, któreby na ten cel mogły być użyte, dlatego Siostry, ufne w Opatrzność Boską, rozpisały listy do kapłanów, obywateli i innych osób dobrej woli i szlachetnego serca, prosząc o ofiarę według możności, czy to w gotówce, czy też w różnych materyałach budowlanych. Te listy wielu przyjęło życzliwie i pospieszyło z datkami.

Parana. — Abranszes. List Siostry Leokadyi z dnia 26 lutego 1905 r.

Właśnie zakończyłyśmy brazylijskie lato, t. j. takie upały, że pot z nas „płynął“ — dochodzi do 40^0 R., lecz to tylko od 11 do 6 wieczorem. O 6 godzinie jest zachód słońca, coś tak pysznego, że nie podobna opisać. Całe niebo czerwone lub ogniste jak cegła; czasami jasne i lekkie obłoczki pokrywają je tu i tam, czasami znów gęste, zupełnie czarne chmurki jakby bałwany posuwają się po purpurowem morzu, lub w kształcie słupów wiszą nad ziemią. Przytem niebo zdaje się tak blizko, że my na naszym balkonie stoimy jakby w ogniu. Po zachodzie słońca odrazu się ściemnieje i pełno lata w powietrzu bąków świecących. Są one tak duże jak nasze chrabąszcze, na głowie mają dwie plamki, które tak mocno świecą, że przy jednym takim robaczku można dobrze czytać. Co wieczór bardzo się błyska, lecz burzy jeszcze nie było, jak długo tutaj jesteśmy, a podobno okropne — pioruny uderzają jeden na drugi. Pomimo upałów roślinność nadzwyczaj bujna dla częstych deszczów: zwykle co drugi dzień pada i to czasem przy największym upale, słońce świeci a deszcz leje, aż strugi płyną. Po dwóch godzinkach woda obeschnie, kwiaty odświeżone główki podniosą — i znów ładnie. Laski, które do nikogo nie należą, a zatem i nie pielęgnowane, tak zarosły, że kura by nie przeszła. Na gałęziach

drzew wyrastają różne pasożyty a tyle bluszczy i powojów pnie się w górę, że ostatecznie trudno rozpoznać, które liście i kwiaty należą właściwie do drzewa. Tutaj nie tak trzeba pielęgnować, żeby kwiat wyrósł, jak u nas; n. p. utnie się kawał kaktusa i rzuci na śmietnik — on zaraz rośnie dalej. Dlatego też tyle pracy wymaga uprawa roli. Wiecznie ci biedni ludzie palą się na słońcu, ciągle czyszczą zagony, a zielsko pomimo tego przerasta zboże i jarzyny. Każda rodzina posiada nieduży kawałek ziemi i tak, pracując ciągle nad nim, nie ma biedy, bo ziemia tutaj rodzi ciągle, ledwo zbiorą jedno, już sieją i sadzą drugie. Jarzyna tu ciągle świeża — za to zboże raz do roku się zbiera jak i u nas. Jarzyna taka sama jak w Europie: kapusta, kalafiory, szparagi, pomidory, ogórki, sałata itd. Oprócz tego rosną tu jeszcze jakieś fiżony w guście fasoli i różne inne ogrodowizny — my mało tego jemy. Za to owoce zupełnie inne. Jabłka i gruszki też się tu udają, lecz takie twarde, że można je jeść tylko gotowane. Kiedyśmy tutaj przyjechały, przynosili nam ludzie pomarańcze i piniory, wyglądające jak bób, tylko znacznie większe, a smakują zupełnie jak kasztany; — potem były amejsze, niby nasze śliwki, żółciutkie, smakują jak dobre jabłka — równocześnie gawirowy podobne do amejsz ale nie dobre; po nich nastąpiły brzoskwinie i to najrozmaitszego kalibru, białe, różowe i ciemno-żółte oraz tamarakuzie, owoce to wielkości brzoskwiń, zupełnie zielone okrągłe jak kulki i twarde, trzeba przekroić i wyjeść łyżeczką środek, który nie bardzo apetycznie wygląda, lecz dobry podobno, myśmy tego wcale nie jadły. Obecnie czas winogron, a raczej rodzynek, których jagody znacznie większe od europejskiego wina i skórka grubsza. Przynoszą nam ich ludzie tak wiele, że siostra Józefa gotuje z nich zupy, leguminy, soki itd. Są jeszcze banany, figi, ziabutykawy, czerwono-brunatne, duże jak orzech włoski, tylko zupełnie okrągłe, smakuje podobnie do wina. Truskawki są ciągle; co potem będzie, opiszę później, poznajemy wszystko w miarę tego, jak dojrzewa. Niedługo już będą dobre ananasy. Okropnie wiele

też jest tu różnych owadów, a przedewszystkiem żmii trujących, podobno w jesieni ich najwięcej. Niedawno przyniósł nam p. Preis żywą żmiję koralową $1^1/_2$ m. długą. Przedwczoraj była żmija na naszem podwórzu. Siostra Józefa pobiegła po Preisa (bo oni zaraz koło nas mieszkają) i p. Pr. z wielkim drągiem przyszedł żmiję zabić. Nie była długa, lecz podobno bardzo jadowita. Bardzo często się tutaj zdarza, że żmija kogoś ugryzie, Brazylianie jednakowóż mają na to tak skuteczne lekarstwa, że rzadko kto umrze. Wieczorem lub rano po deszczu jest masa żab, duże jak bochenek chleba; chodzą po drodze lub po podwórzu i nic złego nikomu nie zrobią, tylko jeżeli im się kto sprzeciwi, to ugryzą i wypuszczą jad. Liszki tutejsze bardzo duże i także trujące; gdy się ich palcem dotknie, to cała ręka spuchnie. I komary tutejsze większe niż nasze. Motyle tu najrozmaitsze, niektóre do 42 cm. szerokie i bardzo ładne. W przeszłym tygodniu przyniósł X. proboszcz ćmę 32 cm. szeroką. Większe zwierzęta jakoto małpy, jaguary itd. usuwają się coraz więcej w głąb lasów. Z ptaków najładniejsze kolibry, jest także wiele mew i wróbli z czerwoną przepaską na szyi; zdarzają się i papugi, ale bardzo rzadko.

Nie poprzestajemy jednak na podziwianiu przyrody brazylijskiej. Mamy dzieci 115, dziewczynki i chłopaków, a więc pracy dosyć. Przed południem od 8—12-ej uczymy dzieci, Siostra Olsztyńska młodsze w jednej klasie, ja starsze w drugiej; od 12—1-ej obiad i trochę rekreacyi, od 1—4-tej mam 23 dzieci niemieckich, po największej części luterskich. Od 4—5-ej przygotowuję się trochę na dzień następny, od 5—6-ej czytanie i rozmyślanie, o 6-ej kolacya, potem popatrzę się kilka minut na piękne niebo, odetchnę „frysznym luftem“, jak mówią tutejsi ludzie, i już wieczór.

Na 8-go grudnia sypały szkolne dzieci w białych sukienkach kwiatki podczas procesyi, nowość to dla nich, gdyż dawniej tego nie było. W Nowy Rok przedstawiły jasełka, naturalnie był to drobiazg, bo cóż można nauczyć w dwóch miesiącach, lecz dobrze oddały role swoje. Wczoraj pierwszy

raz śpiewały dzieci szkolne na chórze w kościele a ja grałam, ludzie przyszli nam dziękować, także i ks. proboszcz był zadowolony z pierwszej naszej próby. Obecnie przygotowujemy się na przyjęcie Jego Ekscellencyi księdza Biskupa, który od niedawna jest na stolicy biskupiej (ma dopiero 38 lat), a przybędzie do Abranszes zaraz po Wielkiej Nocy. Trochę się obawiamy, bo same nie umiejąc dostatecznie po brazylijsku, możemy nauczyć dzieci deklamować i śpiewać tylko po polsku, my zaś tylko po francusku możemy mówić z ks. Biskupem, a że Jego Ex. bardzo słabo mówi w tym języku, więc też jakoś przykro i niemiło.

Ludzie nam tu są bardzo dobrzy, — pierwszy raz, gdy przyjechał ks. Bajer do nas, wiedząc że jest z nami w jednem Zgromadzeniu, skombinowali sobie, że nam się tu pewnie nie podoba, więc wrócimy do Europy. Zaczęli nam znosić różności — nie mogłyśmy ich uspokoić. Z dziećmi podobne komedye, kiedy mają czasem zostać w domu. „Siostrzyczko“, mówiła jedna kobieta, „toć bym go czasem zatrzymała, boć roboty pełno, ale jak zacznie beczeć, toć powiadam: a idźże mi ty z oczu“. — Ks. Bajer i ks. Chylaszek są na Thomas-Coelho trzy godziny drogi od nas. Jutro właśnie jedzie tam nasz ks. proboszcz i przywiezie Siostrze Józefie książkę kucharską, którą jej ks. Bajer ostatni raz obiecał — dopiero to teraz będziemy jadły chyba same leguminy i nadzwyczajności. Siostra Józefa gniewa się, że się z niej śmiejemy — a smaży i smaży w tej kuchni, żeby nam tylko smakowało. Ks. Dyla był także raz u nas, jest on na Lucenie, bardzo daleko stąd — tam dużo Polaków. Nasz ks. proboszcz zawsze ten sam: co dzień do nas zajrzy; nam się popsuje zegarek, to da tymczasem swój, a kiedy jedzie do miasta, każe naprawić, co dobrego ma, to nam przyniesie; motyla ładnego lub robaczka schwyci, przyjdzie pokazać, zobaczy do spiżarni, pyta, czy żołądki są w porządku, i czy mamy apetyt; przyśle zacherlinu na komary i t. d., bo tutaj bardzo ich dużo, w nocy tak nas pogryzą, że ręce mamy popuchnięte. W ogóle robactwa

najrozmaitszego kalibru i kształtu, to już w Brazylii poddostatkiem.

Obecnie mamy tu jesień, a więc najładniejszą porę roku, mniej więcej polskie lato, tylko pola zawsze jednostajne, zawsze zielone, pokryte kwieciem w jednem, a owocami w drugiem miejscu. Ot! przypomniała mi się „Herwa", ona tutaj nie zażywa tak wielkiej sławy dlatego, że dobra, tylko więcej dlatego, że tania i zarazem dobrym jest środkiem na czyszczenie krwi. Gotuje się ją zupełnie jak herbatę ruską, lepiej nie parzyć esencyi, tylko odrazu herbatę i nie zanadto tęgą. Niedaleko nas na drodze z Abranches do Kurytyby, właśnie jest fabryka Herwy; należy do jakiegoś Brazylianina.

Siostra Leokadya.

ZMARLI:

Misyonarze:

X. Szczepan Portes, 3 kwietnia 1905 w Dax, żył lat 63, w Zgromadzeniu 44.
X. Franciszek Gonzales, 20 kwietnia w Guayaquil, żył lat 55, w Zgromadzeniu 6.
X. Leen Bonveret, 28 kwietnia w Guayaquil, żył lat 54, w Zgromadzeniu 34.
X. Szczepan Bru, 29 kwietnia w Cazones les Béziers, żył lat 62, w Zgromadzeniu 39.
X. Ferdynand Pieffort, 7 maja w Guatemali, żył lat 63, w Zgromadzeniu 38.
X. Henryk Morange, 7 maja w Bordeaux, żył lat 47, w Zgromadzeniu 28.
X. Jan Garros, 7 maja w Metzu, żył lat 58, w Zgromadzeniu 36.
X. Jan Maçur, 20 maja w Cilli, żył lat 59, w Zgromadzeniu 36.
X. Alfons Boucays, 24 maja w Khosrowie, żył lat 51, w Zgromadzeniu 29.
X. Paweł Rougeot, 29 maja w Saris, żył lat 76, w Zgromadzeniu 53.
X. Kamil Durand, 31 maja w Diamantinie, żył lat 28, w Zgromadzeniu 10.
X. Szymon Urien, 4 czerwca w Ternel, żył lat 38, w Zgromadzeniu 21.
Br. Grzegórz, 5 czerwca w New-Haven (prowincya polska).
X. Franciszek Eatorre, 9 czerwca w Madrycie, żył lat 26, w Zgromadzeniu 10.

X. Fryderyk Laurent, 12 czerwca w Damaszku, żył lat 60, w Zgromadzeniu 21.

Siostry Miłosierdzia:

S. Zofia Sadowska, 28 czerwca 1905 w krakowskim domu centralnym, żyła lat 26, w Zgromadzeniu 1 i pół.

R. I. P.

WYDAWNICTWA XX. MISYONARZY
Kraków, Kleparz 19.

MAKSYMY ŚW. WINCENTEGO A PAULO

wydał X. Jan Dihm ze Zgrom. XX. Misyonarzy.

Książeczka ta zawiera krótkie zdania i myśli na każdy dzień roku, wyjęte z pism i listów św. Wincentego a Paulo, założyciela XX. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia. Trafne te myśli są owocem miłości Bożej, pojętej w sposób prosty i naturalny i dlatego trafiają prosto do duszy, ucząc ją kochać Boga i bliźnich.

Pięknie broszurowane, z okrągłymi brzegami 50 hal. (50 fen.), oprawne 80 hal. (80 fen.).

ŻYWOT BŁOGOSŁAWIONEGO REGIS KLETA.

Podaje żywot i śmierć męczeńską tego Błogosławionego w Chinach, oraz krótki opis katolickich misyi w tym kraju po ich objęciu przez XX. Misyonarzy w r. 1783.

1 Kor. (1 mar.).

NASLADOWANIE JEZUSA CHRYSTUSA

Tomasza a Kempis.

Z cennemi uwagami do każdego rozdziału, które pomagają do rozwinięcia w rozmyślaniu myśli zawartych w złotej książce Tomasza a Kempis.

Broszur. 1 Kor. (1 mar.), opr. 1·50 Kor. (1·50 mar.).

MIESIĄC CZERWIEC

poświęcony czci Najsłodszego Serca Pana Jezusa

przez X. Ulaneckiego, Misyonarza.

Książeczkę tę bardzo polecamy tak wiernym jak kapłanom, pragnącym pouczyć lud o czci do Najsł. Serca P. Jezusa, jak je wielbić modlitwą myślną i ustną oraz praktycznem zastosowaniem w życiu.

Opr. 1 Kor. (1 mar.)

PRZEWODNIK GRZESZNIKÓW.

Książka do poważnego czytania, o której Papież Grzegorz XIII. powiedział, że autor, ogłaszając to dzieło, więcej przyniósł pożytku Kościołowi św., aniżeli gdyby był przywrócił wzrok ślepym i słuch głuchym; a inny Papież, że księga ta więcej dusz pozyskała Jezusowi, niż obejmuje liter.

Opr. 3 Kor. 20 hal. (3 mar.).

Na liczne żądania wiernych, sprowadzają XX. Misyonarze

Wodę z cudownej groty N. M. P. z Lourdes,

przez której pobożne użycie już tylu wiernych uzyskało zdrowie. Rozsyła się ją w litrowych butelkach, w starannie opakowanych skrzynkach. Również można nabyć i Nowennę z opisem cudów N. M. P. w Lourdes.

Nakładem Sióstr Miłosierdzia Domu Centralnego w Krakowie na Kleparzu wyszedł:

Żywot Ludwiki Le Gras

Fundatorki i pierwszej Przełożonej SS. Miłosierdzia.

Broszur. 2 Kor. (2 mar.) — opr. z dodatkiem listów Ludwiki Le Gras 4 Kor. (4 mar.) — Nakład 600 egz.

Manualik Dzieci Maryi

z dodatkiem przepisów i modlitw Stow. Aniołów Stróżów. — (Wydanie czwarte).

Część pierwsza obznajamia nas z celem i organizacyą Stowarzyszenia Dzieci Maryi; część druga zawiera wskazówki do życia pobożnego w duchu Stowarzyszenia; część trzecia mieści wiązankę modlitw i rozmyślań.

Cena egzemplarza K. 2, 2·50 i 3.

Pan Jezus wśród ludzi.

Dla wszystkich Czcicieli Najświętszego Sakramentu książka ta stanie się prawdziwym skarbem.

Zaleca się przedewszystkiem gruntowną nauką o Najświętszej Eucharystyi i poddaje duszy najgorętsze uczucia pobożne ku tej tajemnicy miłości Bożej.

Cena egzemplarza 1 Kor. 50 hal., (1 Mk. 50 fen.).

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.